



„CYD” W MOSKWIE

w wykonaniu polskich artystów
spotkał się z serdecznym przy-
jęciem radzieckiej publiczności
Patrz list z Moskwy wewnątrz numeru.

Fot. COPIA — A. Kaczkowski

ŻYWY NURT MIASTA

Korespondencja własna „Świata“

Berlin, w październiku

MOJ przyjaciel Kurt H. był już na dworcu, kiedy pociąg nasz zajeżdżał na Ostbahnhof. Przywitaliśmy się serdecznie. Razem z Kurtem byliśmy przed pięciu laty w Berlinie przy narodzinach najmłodszej republiki demokratycznej w Europie. Ledwie opuściliśmy dworzec, Kurt zawyrokował:

— Zostaw rzeczy i maszynę w hotelu i chodźmy na miasto. Zobaczysz, czym dzisiaj ludzie u nas żyją...

Auto nasze rozpoczęło swój rejs od nowych bloków przy ulicy Marchlewskiego, tuż u skraju alei Stalina. Opośdaj widać wysmukłą sylwetkę Domu Dziecka — daru rządu NRD dla dzieci Berlina. Wszędzie krzątają się robotnicy porządkując trawniki, ustawiając ławki. Bloki przy Marchlewskiego zostały przekazane miastu przez budowlanych na święto 5-lecia NRD. Kiedy zjechaliśmy do „Cafe Warschau“, aby tradycyjnie napić się „polskiej kawy“ i zjeść tort zrobiony „po warszawsku“, niewiele było jeszcze gości. Z tarasu kawiarni rozciąga się piękny widok na panoramę Berlina. Stąd dopiero ocenić można, ile zrobiono w sektorze demokratycznym Berlina dla odbudowy miasta.

— Wszystko jak sięgnąć okiem — powiada nie bez wzruszenia Kurt — zrobiliśmy w tym ciężkim pięcioleciu. — W jego głosie brzmiała duma. Pięć lat to niewielki okres w dziejach narodu, a przecież robotnik niemiecki pokazał co potrafi zdziałać wolny człowiek, który buduje dla siebie, dla swoich dzieci. Rosną zastępy przodowników pracy w NRD, podobnie jak krzepnie siła polityczna i ekonomiczna państwa, które przed 5 laty Adenauer i wielu innych polityków zachodnich uważało za „państwo sezonowe“.

Spoglądamy z tarasu „Cafe Warschau“ na żywy nurt ulicy. Miasto tonie w różnokolorowych draperiach transparentów i plakatów. Girlandy kwiatów w barwach narodowego sztandaru okalają fasady domów, witryny sklepów, latarnie i pojazdy. Wszędzie czuje się nastroj budowego festynu. Na placu Marksa — Engelsa, w dawnym Lustgartenie, tradycyjnym miejscu robotniczych demonstracji, w roku 1918 przemawiał do ludu berlińskiego zamordowany później przez reakcyjnych skrytobójców Karl Liebknecht. Stamtąd w roku 1932 Ernst Thaelmann nawoływał masy pracujące do walki z Hitlerem. Dzisiaj wolny lud Berlina czyni tu ostatnie przygotowania do upiększenia placu, na którym berlińczycy będą manifestować swoją radość — radość z powstania republiki, która nawiązuje do najlepszych tradycji narodu niemieckiego.

Kurt ciągnie mnie do nowoutworzonego automatu, gdzie można otrzymać, bez obsługi i bardzo sprawnie, wszystko „czego dusza zapagnie“. W automacie rojno i wesoło. Młodzież i robotnicy korzystają z pierwszych automatów kanapkowych i piwnych. W domach towarowych przy Aleksanderplatz tłok niesamowity. Goście z prowincji pragną mieć pamiątki z Berlina. Obsługa jest tak sprawna, że aż zazdrość bierze... Przeglądamy bogaty wybór wszelkich towarów w rozmaitych gatunkach — zwracają uwagę wyroby skórzanego, towary z plastiku oraz rozmaite typy aparatów fotograficznych, maszyn do szycia i pisanie. Tutaj widać najlepiej znaczenie 16 obniżek cen, jakie nastąpiły w NRD w ciągu ostatnich pięciu lat. Rozumiemy też, dlaczego tylu klientów z zachodniego Berlina kupuje wyroby przemysłowe w HO.

Zmierzcha. Nasza pierwsza wędrowka w dzień przedświąteczny dobiega końca. Już płoną neony na Friedrichstrasse, gdy rzeka ludzka płynie wszystkimi bramami centralnego dworca w stronę miasta.

Wieczorem przechodzimy obok Opery, gdzie odbywa się wielka akademii państwowa z okazji święta narodowego NRD. Mimo późnej pory przed placem operowym tysiączne tłumy niecierpliwie czekają na ukazanie się „ojca Piecka“, jak lud berliński nazywa swojego pierwszego prezydenta. Pragną też zobaczyć Władysława Mołotowa przewodniczącego delegacji ZSRR, który jako przedstawiciel narodu radzieckiego przyjechał do Berlina, aby przywieźć najlepsze pozdrowienia dla narodu niemieckiego, budującego w NRD nie tylko dla Niemców, ale i dla całej Europy — pokojową przyszłość. Jest coś doprawdy wzruszającego w tej masie do nitki przemokłych od deszczu ludzi, którzy godzinami trwają „na posterunku“. Coś wzruszającego i bardzo równocześnie pogrzucającego.

Dla Polaka, który noc hitlerowską przeżył w okupowanej Warszawie — ten podniosły i radosny nastrój demokratycznego Berlina, świętującego pięciolecie pierwszej w dziejach Niemiec republiki pokojowej i demokratycznej, pozostanie na długo w żywej pamięci.

Podczas zwiedzania fabryki „im. 7 Października“ przez polską delegację rządową, robotnicy zapewniali gorąco swoich polskich gości, iż dołożą wszelkich starań, aby jeszcze bardziej pogłębić przyjaźń niemiecko-polską, opartą na wspólnej granicy na Odrze i Nysie. Robotnik tej fabryki, Otto Regensburg, ściskając dłoń premierowi Cyrankiewiczowi przy ogólnym aplauzie załogi fabrycznej zapewnił dostojnego gościa z Polski, iż zarówno on, jak i jego towarzysze uczynią wszystko, co w ich mocy, aby raz na zawsze przekreślona została zła karta w historii niemiecko-polskich stosunków. I dlatego on — Regensburg — będzie w nadchodzących wyborach do Izby Ludowej głosować na listę frontu narodowego, który jako jedno z naczynych haseł platformy wyborczej wysunął przyjaźń z narodem polskim.

Kto widział w dzień świąteczny manifestację ludu berlińskiego na placu Marksa — Engelsa, ten długo pozostanie pod wrażeniem rosnącej siły demokracji niemieckiej. Ponad 200.000 berlińczyków, w tym tysiące z zachodnich sektorów, gorąco witało przywódców demokracji niemieckiej, pozdrawiając wodzów międzynarodowego proletariatu, którzy przybyli z całego świata, aby dać wyraz uczuciom przyjaźni i poparcia dla wysiłków niemieckiej klasy robotniczej, dźwigającej na gruzach trzeciej rzeszy fundamenty pod pokojowe państwo niemieckie.

Były to doprawdy wielkie dni Berlina. Tego Berlina, który nie zapominając ponurej przeszłości, w dniu święta demokracji niemieckiej, w rocznicę narodzin NRD dał odpowiedź londyńskim wrogom pokoju usiłującym skrachowany układ o „armii europejskiej“ przyodziać w nowy płaszcz dyplomatycznych machinacji, za którymi kryje się nie co innego, jak tylko odbudowa neohitlerowskiego Wehrmachtu. Tłumy manifestujące w Berlinie za pokojem i przyjaźnią z narodami i dyplomaci ukryci za murami Lancaster House w Londynie — oto dwie strony niemieckiego medalu.

...Po skończonym wiecu — kto żyw zaczyna tańczyć na placu Marksa-Engelsa. Całe miasto rozbrzmiewa muzyką i śpiewem.

MARIAN PODKOWIŃSKI

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z POBYTU DELEGACJI POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ



PRZYJAZD IRENY JOLIOT-CURIE



CAF

Z okazji obrad specjalnej sesji naukowej Polskiej Akademii Nauk, poświęconej Marii Skłodowskiej-Curie, córka naszej wielkiej rodaczki — profesor Irena Joliot-Curie przybyła z Francji do Warszawy. Wygłosiła ona referat poświęcony działalności matki.

MANEWRY NA ULICACH MIAST



CAF

W Niemczech zachodnich przeprowadzane są obecnie manewry wojsk anglo-amerykańskich. Zgodnie z programem manewrów odbyły się też ćwiczenia w walkach ulicznych. Ofiarą tych ćwiczeń padło kilka osób cywilnych spośród ludności miejskiej.

LUDOWEJ W CHINACH

W ostatnich dniach września odbyły się w Pekinie uroczystości i obchody związane z piątą rocznicą utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej. Dla uczczenia święta nowych Chin udały się do Pekinu delegacje wszystkich państw obozu pokoju. Delegacji polskiej przewodniczył Pierwszy Sekretarz KC PZPR Bolesław Bierut, który na uroczystej akademii powiedział m. in.: „Dziś ludy całego świata zdają sobie sprawę z tego, jak olbrzymią siłę przedstawia dla sprawy pokoju i wolności w Azji i na całym świecie 600-milionowy naród chiński pod kierownictwem swej klasy robotniczej... Niech żyje wleczysta przyjaźń między narodem chińskim i polskim!” Na zdjęciu: trybuna honorowa w czasie uroczystej defilady na placu Tien An-men w Pekinie.



CAF

Licznych przedstawicieli społeczeństwa polskiego zgromadził w V rocznicę utworzenia NRD uroczysty wieczór w operze warszawskiej. Obecni byli członkowie Biura Politycznego KC PZPR, Rady Państwa i Rządu oraz ambasador NRD w Polsce

POWITANIE WOJSKA



CAF

Ludność Warszawy serdecznie witała żołnierzy wracających z letnich obozów. Dzieci obdarowały ich kwiatami.

PRZED II ZJAZDEM ZMP



CAF

Dla uczczenia zbliżającego się II Zjazdu ZMP młodzież Stoczni Gdańskiej podjęła liczne zobowiązania produkcyjne.

TEATR NAPRAWDĘ LUDOWY



Jean Vilar w „Don Juanie”

Po warszawskich spektaklach cornelliowskiego „Cyda” oraz molierowskiego „Don Juana”, które cieszyły się wielkim powodzeniem wśród warszawskiej publiczności, aktorzy Theatre National Populaire udali się do innych miast Polski. Po powrocie do Warszawy będziemy ich mieli okazję zobaczyć jeszcze raz w tym samym repertuarze. W czasie pobytu w stolicy artyści francuscy z kierownikiem teatru Jean Vilarem zwiedzili kilka nowych dzielnic odbudowującej się Warszawy. Przewodnikiem ich był jeden z czołowych architektów Warszawy — inż. Stanisław Jankowski. Współpracownik naszej redakcji, Adam Perzyk, odwiedził ludowych artystów Francji za kulisami Teatru Narodowego, gdzie „złapał ich na gorącym uczynku” przygotowań do spektaklu.



„Cyd”. Aktorka Monique Chaumette jako Infantka.

„DNI WINOBRANIA”



CAF

Tradycyjne święto „Dni winobrania”, obchodzone rokrocznie w Zielonej Górze, upłynęło pod znakiem wesołych zabaw.



Laurence Constant jako Leonora w „Cydzie”.

Rys. A. PERZYK

Fot. N. SOSSO

NA W POZ

Gołdap, w końcu września

WSIADA się do pociągu i jedzie na koniec polskich kolei, gdzie nie ma już torów. Potem trzeba wskoczyć w przygodnie złapany samochód ciężarowy i jechać na koniec dróg. Wreszcie dosiada się traktora i jedzie poprzez góry, doliny, wertepy — „na koniec świata”. Tam właśnie pracują oni.

Wszystko tu przypomina front. Zielone, ciężko obciążone maszyny ciężarowe wloką się z hałasem po wyboistych drogach. Mundurem pracujących tu ludzi są zielone kombinezony i waciaki, noszone już teraz, we wrześniu. Ubrani są w nie wszyscy: traktorzyści, szoferzy, księżowi, pracownicy polityczni oddelegowani na teren odłogów, agronomowie, oborowi. Kierowcy mijających się samochodów zatrzymują swoje wozy.

— Co wiesz?

— Paliwo. A ty?

— Chleb. Słyszałeś, że brygada Marcaka przeszła do siewów?

— Brygada Formy orała całą noc...

Samochody ruszają. Na każdym,

Wielki ruch zaczął się między pierwszym a dziesiątym września. Na pustkowiu wyrosły traktorowe obozowiska. Wszystko tu przypomina front: namioty, zielone kombinezony i waciaki, warkot motorów ciężko obciążonych ziemią ciężarówek.

Waciak trzeba zapiąć wysoko pod szyję — jest bardzo zimno. Ale ani zimno, ani sława groźnego konkurenta — Marcaka — nie przestraszyły Stanisława Formy.

Rozpoczął się pierwszy dzień pionierskiej pracy. Teraz trzeba pokazać co się naprawdę potrafi, chwilowo jeszcze nie na motorze, a po prostu — przy młocie.



WYSUNIĘTEJ CYCJI

Napisał:
KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI
Zdjęcia:
WIESŁAW PRAŻUCH

prócz ładunku, jadą zdążający w różne strony ludzie. Wystarczy podnieść rękę — każdy samochód zatrzyma się.

OBOZY POD FLAGAMI

Jedziemy z ładunkiem wapna dla murarzy, którzy gdzieś tam, przed nami, remontują budynki dla ludzi i maszyn. Wraz z nami na platformie trzęsie się młody chłopak w kombinezonie, z zesuniętą na tył głowy czapką, i jakiś starszy człowiek. Jest piekielnie zimno, wiatr zaciną ostro.

— Polska Syberia — mówi starszy.
— Polski Ałtaj — poprawia chłopak.
Tę nazwę słyszy się tu stale.

Wśród lasów i jezior leżały nieknięte dotąd odłogi. Ludzi tu było mało — zła komunikacja odstraszała śmiaków. W lasach bezkarnie panoszyły się dziki, wilki podchodziły bydlę nawet we wrześniu. A ziemia tu dobra, przeważa trzecia, najdalej czwarta klasa. Odłogów jest wiele — kilkanaście tysięcy hektarów. Na te właśnie tereny przybyli w lipcu pierwsi traktorzyści.

Ruch zaczął się później, między pierwszym a dziesiątym wrześniem; przyjechali wtedy traktorzyści z całej Polski, najliczniej z wrocławskiego, opolskiego, stalinogrodzkiego. Pociągi przywoziły ich na stację w Gołdapi. Tam czekały już na rampie nowiutki „Ur-susy”. Ruszyli do nowoorganizowanych Państwowych Gospodarstw Rolnych, zespołów w Gołdapi, Boćwinkach, Deguciach. Do Leszkiejm, Gołubi, Zawiszyna, Rogacz.

Wśród ogromnych pól tylko wysoko zawieszane na słupach flagi wskazują, gdzie rozstawione są namioty traktorowych obozów.

Trzeba jednak koniecznie zapoznać się dokładnie ze wszystkim. To się przyda.



Od kilkunastu dni na odłogi przybywają pionierzy — ci, którzy zgłosili się na wezwanie Związku Młodzieży Polskiej. Chłopcy i dziewczęta ze wsi i z miasta, ze szkół, z domów — i tacy, którzy już pracowali. Wkładają kombinezony i ruszają do siewów.

...Samochód zatrzymuje się w Rogaczach. Czeka tam na nas organizator zełtempowski, Tadeusz Mikulski. Umówiliśmy się z nim na jazdę do Deguci, najdalej wysuniętej pozycji pionierów. Na odgłos motoru ze stojącego przy drodze budynku wybiega szczupły i wysoki chłopak. Twarz ma zatroskaną.

— Zmieniły się plany, towarzysze — mówi. — Nie mogę dalej jechać. Muszę zostać w Rogaczach. Jestem tu potrzebny.

Zbliżywszy się wyjaśnia:

— Muszę przeprowadzić zebranie. Nie-dobrze się dzieje. Dwóch pionierów chce wracać do domu.

CIOTKI LEONARDA ŻÓŁTKO

W Rogaczach od dwóch dni pracuje grupa pionierów. Jest ich 15 — trzynastu chłopców i dwie dziewczyny. Wszyscy są dziećmi Białostoczczyzny.

Leonard Żółtko był pracownikiem Zarządu Powiatowego ZMP w Sokółce. Nim poszedł do politycznej roboty wiele lat ciężko pracował u własnych ciotek. Matka umarła mu wkrótce po porodzie, a ojciec porzucił go, gdy miał trzy lata. Z najbliższej rodziny pozostały dwie ciotki. Wzięły one malca pod opiekę, a potem kazały spłacić dług wdzięczności. Pracował Leonard na ich gospodarstwie od świtu do nocy. Zrozumiał wreszcie, że u ciotek do końca pozostanie parobkiem. Postanowił się uczyć. Zapisał się do wieczorowej szkoły dla dorosłych. Wstawał o piętej rano, kładł się spać o dwunastej w nocy. Wreszcie organizacja zełtempowska zwróciła uwagę na ambitnego chłopca. Leonard został instruktorem Zarządu Powiatowego. Nie zawiedziono się na nim. Pracował ofiarnie, z poświęceniem, a wieczorami uczył się dalej. Zyskał sobie przyjaźń i zaufanie.

...Siedzi teraz Leonard Żółtko w małej izbie, zastawionej żelaznymi łózkami. U sufitu wisi naftówka. Wokół poznani przed czterema dniami koledzy. Przyjechali wraz z nim na odłogi. Pośrodku organizator ZMP-owski, który opiekuje się nimi od chwili przyjazdu. Mówił im właśnie o znaczeniu ich decyzji, o zadaniach, o tym, jak zorganizują sobie życie. Padają pytania — nie każdy jest tak spokojny i zdecydowany jak Leonard. Wielu zostawiło rodziców, dziewczyny. Są niby twardzi, wiedzą po co przyjechali, co ich tu czeka, a jednak chwilami żal...

Organizator nie poruszył jeszcze najbardziej drażliwej sprawy. Mówi teraz o znaczeniu zespołu. Będą tu żyli, pracowali i mieszkali razem. Muszą się żyć, zrosnąć i zgrać w jeden silny organizm. Inaczej nie dadzą rady. Ktoś musi takiemu zespołowi przewodzić. Trzeba więc wybrać grupowego ZMP. Pada nazwisko Leonarda. Koledzy kolejno popierają tę kandydaturę, poznali już jego spokój i stanowczość. Kiedy przychodzi do głosowania, podnoszą się wszystkie ręce.

I oto sprawa najważniejsza — dwóch pionierów chce wrócić do domu. Dlaczego?

Z ławki podrywa się niski blondynek. To Wacław Marcińczyk. Podniesionym głosem, krzycząc prawie, tłumaczy, że nie ma wcale zamiaru wracać do domu. Chce zostać kierownicą w PGR-ze. Przyjechał tu nie na zabawę, ale do pracy i śmieszne jest oskarżać go o chęć dezercji. Skąd się wzięły plotki, jakoby chciał uciekać? Pewnie stąd, że zamierzał pojechać na jeden dzień do rodzinnego Grajewa, by zwrócić bratu walizkę. Ale pojedzie dopiero za tydzień, albo dwa, gdy minie najgorętszy



Spać, spać... dzień był pracowity. Janowi Wojnie przyśni się pewno dom — daleki dom. Nim zaśnie, dyskutuje jeszcze z kolegami — gdzie zrobimy świetlicę?

okres robót. Tchórzem nie jest, wie, po co przyjechał.

Sprawa jest jasna.

Teraz wstaje Bolesław Dąbrowski. Chłopak ma czarne oczy, ale trudno to zauważyć, bo na nikogo nie patrzy. „W domu została chora matka, siostra i szwagier, ziemi jest 6 hektarów. Nie poradzą...”

— Nie poradzą na 6 hektarach, a my poradzimy na tysiącu — śmieje się ktoś.

Dąbrowski patrzy w ziemię.

— Nie myślałem — mówi — pokłóciłem się w domu i uciekłem. Ale muszę wracać...

— Przyznaj się, strach cię obleciał — pyta Żółtko — nie bój się, nie zginiesz z nami.

— Ja chcę wracać — powtarza Dąbrowski.

Namawiać go — czy warto? Chłopak nie przylgnął do kolektywu, praca nie podoba mu się. Co z nim zrobić?

— Niech wraca. Nic tu po nim — zapada jednogłośnie postanowienie.

Nic tu po nim. Potrzebni są tutaj ludzie tacy, jak Żółtko, jak Marcińczyk, jak Czesław Zotczyk, który tu właśnie pragnie wstąpić do Partii. Tacy, jak

Dokończenie na str. 7

„Nogi i traktory muszą być zawsze czyste” — mówi Stefan Marczak do swoich traktorzystów. — „Taka jest moja zasada. Pytacie o Formę? My mu jeszcze pokażemy”



CIENIE GESTAPO NAD FRANCJĄ

KONFERENCJA LONDYŃSKA, której wynikiem było zaproszenie Niemiec zachodnich do atlantyckiej rodziny drapieżców, odbywała się przy akompaniamencie — jeśli chodzi o Francję — dwóch „afer” sądowych. Jedną z nich zajmuje codziennie pierwsze stronicę gazet, przysługując wiadomościom najwyższej rangi, drugą — znalazła rozgłos o wiele mniejszy. Mówiąc o pierwszej „aferze”, tak zw. „aferze Dides'a”, jedną z gazet, l'Express, mająca najlepsze źródła informacji, bo związana z premierem Mendes-France'em, nie zawahała się użyć tytułu: „Nowa Cagoule”. Jak wiadomo „cagoulards” byli to członkowie przedwojennej francuskiej organizacji faszystowskiej, którzy przygotowywali na swoich tajnych zebraniach, o dość makabrycznym rytuale, spisek, wzorowany na tradycjach hitlerowskich. Spisek ten miał oddać władzę w ręce dyktatury faszystowskiej. Działo się to w latach trzydziestych. Zwycięstwo Frontu Ludowego we Francji w roku 1936 uniemożliwiło realizację ich planów. Marszałek Pétain, w którym kagulardzi chcieli widzieć francuskiego Hitlera, objął władzę w kilka lat później, dzięki okupacji Francji przez Wehrmacht i gestapo. Kagulardzi zrzucili czarne kaptury, od których pochodziła nazwa ich organizacji, witając z radością tryumf faszyzmu „brunatnego”.

Druga „afera” rozgrywająca się w salach trybunału wojkowego przy ulicy Cherche-Midi, przypominała Francuzom dość żywo, jak wyglądał ich kraj pod jarzmem hitlerowskich „Europejczyków”. Był to proces generała SS Karla Oberg'a i jego adiutanta Knochena. Gdybyśmy zajrzeli np. 23 września na salę sądową, byłibyśmy świadkami następującego dialogu (wersja burżuazyjnej gazety „Le Monde”):

Przewodniczący Trybunału do oskarżonego Oberg'a:
— Przechodzimy do punktu objętego w akcie oskarżenia

nazwą: Tortury w stosunku do aresztowanych. Czy wiedział pan coś o tym? —

Karl Oberg (szef gestapo we Francji): — Dowiedziałem się o tym dopiero od sędziego śledczego. Do tego czasu nic nie doszło do mojej wiadomości.

Przewodniczący Bouessel-Dubourg odczytuje fragmenty zeznań świadków. Jeden z nich, mnich franciszkański, opisuje, jak jednemu z więźniów rozcinano nożem kuchennym i rozbijano młotkiem stawy palców u nóg; jak odcięto pierś jednej z kobiet; jak aresztowanemu przypalano skórę i wylupiano oczy; jak zanurzano więźniów do wanny, do której załatwili się uprzednio gestapowcy.

— Nie będę czytał dalej. Zeznania zebrane w całej Francji mówią to samo. Czy wiedział pan coś o tym? — pyta ponownie przewodniczący.

— Nie — odpięra Oberg, dodając po chwili podniesionym głosem:

— Trybunał może być pewny, że gdybym wówczas wiedział o jednym chociaż wypadku podobnych tortur, członkowie policji, którzy się ich dopuścili, zostaliby surowo ukarani przez trybunał SS...

Przewodniczący przypomina sprawę Jean Moulin, delegata generała de Gaulle'a, zaaresztowanego w Caluire, pod Lionem i badanego w taki sposób, że gestapo musiało zrezygnować z dalszego śledztwa w Paryżu i odesłało więźnia do Niemiec. Nie dojechał tam jednak, bo zmarł na stacji w Metz. Oberg oświadcza ponownie, że „nie zna tej sprawy”, a jego adiutant Knochen wyjaśnia:

— Ponieważ nie jestem specjalistą od spraw śledczych, nie zajmowałem się nimi i sądziłem, że przebiegały poprawnie.

Ale wróćmy do pana Dides'a, głównego komisarza policji paryskiej, który podczas okupacji Francji przez generała Oberg'a i jego podwładnych, zajmował jedno z kierowniczych stanowisk w policji francuskiej, współpracując z gestapo.

Ocaliło go od wyroku trybunałów francuskich, sądzących kolaborantów, oświadczenie wywiadu amerykańskiego, tzw. OSS — zgodnie z którym Dides służył jednocześnie dwóm państwom: hitlerowcom i Amerykanom. Były prefekt policji Baylot powierzył Dides'owi zadanie śledzenia działalności organizacji lewicowych, a przede wszystkim przeciwników układu o „Europejskiej Wspólnocie Obronnej”. Kiedy prefekt Baylot został zdjęty ze stanowiska przez rząd Mendes-France'a, Dides został mianowany komisarzem Paryża. Nie należy jednak sądzić, że Dides odsunął się od „polityki”. Wobec tego, że mocodawcy amerykańscy prefekta Baylot nie byli zadowoleni z nowego rządu francuskiego (zwłaszcza wobec niefortunnnych dla USA wyników konferencji genewskiej), pan Dides otrzymał nowe zlecenie: skompromitowanie rządu Mendes-France'a poprzez wykazanie, że rząd ten „służy Moskwie” a jednocześnie, według wypróbowanych metod maccartyzmu, udowodnienie, że Komunistyczna Partia Francji prowadziła działalność szpiegowską.

Zadanie było nieskomplikowane w swych założeniach. Pan Dides nie mógł go jednak wykonać bez odpowiednich pomocników. Znalaziono dwóch. Jednym z nich był pan Baranes, rzekomy sprawozdawca parlamentarny lewicowej gazety „Liberation”, a faktyczny prowokator. „Wtyczka” amerykańska w Partii Komunistycznej. Drugi — Alfred Delarue (pseudonim „Charles”) skazany za kolaborację z gestapo na 18 lat więzienia. „Charles” zbiegł z więzienia w 1947 r. i wstąpił do „sieci” Dides'a pod fałszywym nazwiskiem Charles'a Carnera. Razem z Dides'em Delarue vel Carner odbył rok temu podróż do Stanów Zjednoczonych, jak każdy zasłużony „Europejczyk”.

Pan Dides nie ograniczył się zresztą do tak skromnej „sieci”. Zorganizował ją szerzej w oparciu o tzw. „milicję porządkową” RPF. spośród byłych gaullistów, a przede wszystkim nawiązał ścisłe kontakty z organizacją „Paix et Liberté” (Pokój i Wolność) oświatowego najemnika amerykańskiego Jean Paul David'a.

Czy pamiętacie, jak nie mogło się odbyć w Paryżu przedstawienie baletu radzieckiego, gdyż „byli kombatanaci indochińscy”, roz-

goryczni klęską pod Dien Bien-Fu wykupili 400 miejsc w operze i grozili, że „nie ścierpią w takiej chwili występów Ulanowej”? Już wtedy redaktor naczelny tygodnika „France Observateur”, Claude Bourdet, uprzedzał, że „kombatanaci indochińscy” byli w rzeczywistości dalekimi od egzotyki agentami komisarza Dides'a. Była to jednak tylko niewinna sprawka „sieci antykomunistycznej”, która miała „ambicje” daleko większe...

Od maja rb. Dides zaczął przysyłać w kilku kierunkach odpisy dokumentów, zawierających sprawozdania z najtajniejszych posiedzeń Komitetu Obrony Narodowej. Dokumentów tych dostarczał mu „komunista” Baranes, który pisał je odręcznie, a przepisywała je na maszynie sekretarka komisarza Dides'a. Odpisy te trafiały tam, gdzie należało. Przede wszystkim do wywiadu amerykańskiego, a „po drodze” do działaczy katolickiej MRP — partii ministra Bidault, odsuniętego od bezpośredniego wpływu na politykę zagraniczną Francji; do działaczy innych partii prawicowych, rozpalonych do żywego oporem parlamentu przeciwko ratyfikacji EWO; do współpracowników byłego prefekta policji Baylot. W chwili, kiedy minister spraw wewnętrznych Mitterand towarzyszył premierowi Mendes-France'owi w Genewie, dokumenty, kolportowane przez Dides'a insynuowały, że właśnie minister Mitterand „wynosi” tajemnice Komitetu Obrony Narodowej i przekazuje je „komunistom”. Kiedy jednak we wrześniu br. pan Dides zawiadomił ministra Tunisu i Maroka, Fouchet, że „komuniści” znowu są w posiadaniu sprawozdań z posiedzeń Komitetu Obrony Narodowej — a działo się to w przeddzień odlotu Mendes-France'a do Londynu, rząd stracił cierpliwość. Zażądano od Dides'a, żeby ujawnił swego „informatora”, a kiedy komisarz odmówił — został aresztowany.

Okazało się szybko, że autorem prowokacyjnych „odpisów” był agent amerykański i szpicel policyjny, pseudo dziennikarz Baranes, i że tajne posiedzenia Komitetu Obrony Narodowej od dawna przestały — dzięki zapobiegliwości Dides'a i jego

Baranes skończył z karierą sprawozdawcy parlamentarnego. Odtąd występuje już zupełnie otwarcie jako agent amerykańskiego wywiadu i prowokator.



Komisarz Dides uznał, że po klęsce Hitlera opłaci mu się najlepiej „amerykański styl życia”.





Oto zdjęcie z okresu wszechwładzy w okupowanej Francji: szef gestapo, general Oberg, w przyjacielskiej rozmowie z „szefem kolaborantów”, Lawałem. Laval skończył na szubienicy, a Oberga skazano na śmierć.



Narada Oberga z jego adwokatem. Wniosek z narady: należy konsekwentnie przeczyć oczywistym faktom.

współpracowników — być tajemnicą dla wywiadu... amerykańskiego. „Sieć” Dides’a została spalona. Baranes, usunięty natychmiast z gazety „Liberation” schronił się przed policją do rezydencji prawniczego posła Hughesa, autora projektu delegacji Francuskiej Partii Komunistycznej i przyjaciela Jean Paul-Davida. W chwili ostatecznego zwątpienia w swoje ocalenie Baranes poprosił Hughesa o „ułatwienie mu kontaktu z wywiadem amerykańskim”. Hughes nie zdążył jednak zastanowić się nad tą propozycją, bo Baranes umknął na rowerze damskim do klasztoru w La Pierre Qui-Vire, gdzie braciśzkowie przydzielili mu nawet celę dla dalszej „kontemplacji”. Pościg dotarł jednak do klasztoru i Baranes wrócił do Paryża w dość oplakanej, jak na sprawozdawcę parlamentarnego, sytuacji, bo w towarzystwie policjantów.

I oto zaczął się ostatni rozdział „afery” Dides’a. Sieć wywiadowcza okazała się prawdziwą pułapką, w którą wpadli ci, którzy ją sami zastawili. W potrzasku znalazł się wywiad amerykański. Stwierdza to bez ogródek organ finansistów i przemysłowców francuskich „Perspectives”, w numerze z 2 października:

„Informacje, opublikowane przez prasę, prowadzą do niewątpliwiej konkluzji. Jeden z członków Komitetu Obrony Narodowej lub osoba, biorąca udział w jego zebraniach, dyktowała po każdym posiedzeniu dokładne sprawozdanie o jego przebiegu. Wobec charakteru członków Komitetu (w skład jego wchodził prezydent, premier, szef sztabu i kilku ministrów i generałów — przyp. Red.), trudno przypuścić, żeby autor nie dyskrecji uważał osobę, której przekazywał informacje, za członka Partii Komunistycznej. Najprawdopodobniej chodziło o „przyjaciela politycznego”, powiązanego z wywiadem amerykańskim, a konkretnie z siecią, zorganizowaną przez komisarza Dides’a, popieranego przez pana Baylot, za fundusze „Paix et

Liberté”. Osoba przekazująca informacje uważała, że popełnia tylko „niedyskrecję”, która miała na celu dobro naszego głównego sojusznika — Stanów Zjednoczonych. Mogła tak uważać tym bardziej, że, jak się wydaje, wspomniana „sieć” zależy bezpośrednio od służby (wywiadowczej — Red.) amerykańskiej, na której czele stoi pan Allen Dulles, brat amerykańskiego Sekretarza Stanu”. — Tyle — „Perspectives”.

Najzabawniejszy — jeżeli można zdobyć się na uśmiech w tej ponurej farsie — moment „afery” — to lament prasy prawicowej z powodu tak nieoczekiwanego wyniku prowokacji. Klerkalna i hołdująca Departamentowi Stanu gazeta belgijska „La Libre Belgique” pisze o „niesłychanym” skandalu komisarza Dides’a (27 września):

„Aresztuje się w niesłychanych warunkach komisarza Dides’a, którego zasługi na polu walki z komunistami we Francji są ogólnie znane. „Spala się” w sposób skandaliczny informatorów, którymi posługiwali się organy bezpieczeństwa w łonie Partii Komunistycznej, za pomocą jednego uderzenia niszczy się całą sieć kontroli działalności czerwonych, sieć której zmontowanie wymagało wielkich trudów i wielu lat pracy kolejnych ministrów Spraw Wewnętrznych: Charles Brune’a, Martinaud-Deplat, byłego prefekta policji Baylot i komisarza Dides’a...”

Proces szefa gestapo Oberga, zbrodniarza, który okrył całą Francję krwią i żałobą, dobiegł końca. Trybunał wojskowy w Paryżu skazał Oberga i Knochenę na karę śmierci. „Afera” komisarza policji francuskiej, który współpracował z gestapo, a później służył wiernie organizatorom nowej „europejskiej” okupacji Francji, doszła już do kulminacyjnego punktu swoich rewelacji. Wnioski są proste — wyciągnie je lud francuski.

DOROTA BARSKA

Dokończenie ze strony 5

NA WYSUNIĘTEJ POZYCJI

Jan Wojno, który był przedtem inżynierem Wiejskiego Domu Kultury, a teraz prosi o powierzenie mu — poza godzinami pracy — roboty kulturalno-oświatowej, bo się na tym zna. Potrzebni są tacy jak Janina Brzozowska.

Janina skończyła Liceum Pedagogiczne w Białymstoku i zgłosiła się na zaciąg. Nie było jej na zebraniu, przygotowywała kolację dla pionierów i junaków SP. Oczywiście, gdy w przyszłości ktoś ją zastąpi, pójdzie do takiej pracy, która jej najbardziej odpowiada — poprowadzi świetlicę. A teraz gotuje.

ZĄB TRAKTORZYSTY

Z drzwi biura PGR-u w Deguciach wyszedł wysoki, zarostnięty mężczyzna. Trzasnął ze złością drzwiami.

— To Marcak — trącił mnie ktoś łokciem.

Traktorzysta Marcak był tego dnia wściekły.

— Czy to dopuszczalne — wołał — żeby robotnik ćwiartką się leczył? Jasna cholera może człowieka...

O co chodziło? Marcaka od dwóch dni bolał ząb. Zażądał przysłania obojczykowego ambulansu, ale ten nie zjawiał się ani pierwszego, ani następnego dnia. Zrozpaczony Marcak, gnębiony przez chorego ząba, „rąbnął sobie” ćwiartkę. A teraz wsiadał właśnie na traktor, by wrócić do brygady. Przyczepiliśmy się do jego „Ursusa” i ruszyliśmy.

Wiózł nas po okropnych bezdrożach. Ciskało nami wiatrak, a Marcak rzucał tylko wściekłe spojrzenia i grzmiał:

— Pożalujcie oni tej ćwiartki, do samego ministra trafię...

Ale tu należy pewne rzeczy wyjaśnić.

Brygada jednego z najlepszych w Polsce traktorzystów, Stefana Marcaka, obozuje w Leszkiejach. Przyjechali tu piętego września z Wojnowic na Opolszczyźnie.

— Paskudnie mi przygadali w Ministerstwie PGR-ów — opowiada Marcak. — Powiedzieli mi: Byłeś kozak w Wojnowicach, pokaż teraz na odłogach, co potrafisz...

Trzeba wiedzieć, że Stefan Marcak był pierwszym, który w roku 1948 podjął apel Pstrowskiego i wezwał do współzawodnictwa pracowników rolnictwa. W roku 1950 odznaczony został Orderem Sztandaru Pracy II klasy.

Znalazłszy się w Leszkiejach brygada Marcaka rzuciła wezwanie sąsiednim brygadam i ruszyła do roboty. Współzawodniczące brygady wysłały co parę dni zwiadowców — agronomów, albo mechaników — by przekonać się, jak sobie Marcak radzi z odłogami. Wysłannicy oglądali równiutkie i bez zarzutu zaorane polacie ziemi. A orka nie przychodziła łatwo. Wieloletnie ugory zarosły krzakami, a nawet i drzewami. Trzeba je było zaościć, nie uszkadzając przy tym pługów i traktorów. Ale...

Ale ku zdziwieniu Marcaka i jego chłopców pod bokiem wyrósł groźny przeciwnik. Jest nią legnicka brygada Stanisława Formy. Przyjechała ona o tydzień później i zaraz przeszła na stosowany przez Marcaka system pracy bez przerwy, na dwie zmiany — w dzień i w nocy. Zakwaterowana pod

namiotami w Gołubiach powiesiła flagę wysoko na słupie i... zaczęła deptać Marcakowym ludziom po piętach. Orkę wykonują traktorzyści Formy nie gorzej, niż ich sławni przeciwnicy, choć im kiedyś pięć ciągników omal nie zatonoło na podmokłym gruncie, choć przyzwyczajonym do lepszych warunków pracy doskwiera brak gazet, poczty, wieści ze świata.

Współzawodnictwo trwa. Niektórzy zaczynają przebąkiwać, że Forma zwycięży, bo u jego chłopaków notują już pięć i pół, a nawet sześć hektarów dziennej orki.

I w takiej właśnie sytuacji wydarzyła się ta historia z zębem. Nic więc dziwnego, że Marcak był zły.

Jedno było dla mnie niejasne:

— Dlaczego nie wsiadziecie w samochód i nie pojedziecie do Goldapu, do dentysty?

Marcak spojrzał na mnie z politowaniem:

— Więc mam — mówicie — stracić cały dzień?

KŁOPOTY WACHOWIAKA

Biuro PGR w Deguciach. Mały pokój z jednym oknem. Szafa, dwa stoły, dwa krzesła i chwiejąca się ławka. Dzwoni telefon.

— Mówi Wachowiak, kierownik gospodarstwa. Kto? Aha, stacja kolejowa... Ze jak?... Baraki przyszły? I ziarno siewne? Dobrze, dobrze. Samochody przysłać? Zaraz.

Wachowiak przyjechał tu na wiosnę. Gospodarstwo było niewielkie. Sprzętu

nie było prawie wcale, budynki rozwalone; obsianego pola też niewiele. Po dwóch dniach wiedział już, że czeka go tutaj trudne życie. Był na to przygotowany.

Wkrótce zaczęły się dziać rzeczy straszne.

Najpierw przysłano plan, przewidujący stworzenie nowych gospodarstw i objęcie wszystkich odłogów. Potem zwały się dziesiątki traktorów. Cisza zapadła na końcu Polski PGR-u prysła. Powietrze zaczęło huczeć, jakby nad obozowiskiem dywizji pancerniej. I oto nagle Aleksander Wachowiak stał się gospodarzem na wielu tysiącach hektarów, rozporządzającym armią stu blisko traktorów, dziesiątków siewników, wielu agronomów. Nic więc dziwnego, że poczuł się nieswojo.

— O cokolwiek poprosić, wszystko przysyłają — mówi, a w jego głosie brzmi zabawne zmartwienie — traktory, to traktory, baraki, to baraki...

Robi wrażenie człowieka zakłopotanego własną siłą.

Ale kiedy rozmowa schodzi na to ile zboża zbiorą z tych pól — uśmiecha się. Zakłopotanie znika. Należy więc przypuszczać, że... przyzwyczai się.

* * *

Całe noce huczą traktory. Światła wypłaszają z kryjówek dziki i wilki, które dotąd buszowały tu bezkarnie. Drogami i bezdrożem toczą się załadowane ciężarówki. Coraz to nowe grupy pionierów przyjeżdżają na odłogi.

Wielkie uderzenie trwa.

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

w Moskwie

Napisał: AUGUST GRODZICKI

Zdjęcia: E. TICHANOW („OGONIOK”)



A co słyszać w Warszawie? — Aktorzy polscy mogą w holu hotelu „Moskwa” nabyć polskie gazety.

HOTEL „MOSKWA”, w którym mieszkamy wraz z częścią zespołu Teatru Polskiego, dzieli od Teatru Małego, gdzie odbywają się polskie występy, przysłowiowe dwa kroki. Wystarczy przejść obok okazałego gmachu Prezydium Rady Ministrów, by od razu znaleźć się na dużym placu Swierdłowa. Klasyczne kolumny Teatru Wielkiego, uroczy skwer z fontanną — i już jesteśmy przed pomnikiem Aleksandra Ostrowskiego. Jego „domem” nazwano Teatr Mały, który istnieje od 130 lat. Podłużny, o spokojnych liniach architektonicznych gmach żółtego koloru; bardzo piękna trzypiętrowa sala, w której mieszają się barwy kości słoniowej, czerwieni i złota; szeroko rozbudowane błękitne kuluary; znakomite pomieszczenia dla aktorów i urządzenia techniczne — oto, w jakich zewnętrznych warunkach występował Teatr Polski w Moskwie.

Ale ważniejsza jeszcze była towarzysząca tym występom atmosfera ludzka. Tyle serdeczności i przyjaźni, tyle uprzejmości i zainteresowania — trudno znaleźć gdziekolwiek indziej. Publiczność, mimo że nie rozumiejąca lub rozumiejąca słabo język polski, przyjmowała nasze przedstawienia z entuzjazmem i aplauzem tak gorącym, jak to może być tylko w Moskwie. Tu bowiem ludzie kochają teatr namiętnie i dają temu wyraz na każdym udanym przedstawieniu. Nieraz aktorów naszych na ulicy proszono o bilety, które w kasie już dawno wszystkie były wyprzedane. Prasa moskiewska wiele miejsca poświęcała przedstawieniom Teatru Polskiego. Recenzje pisali znakomici reżyserzy i aktorzy, przeważnie ci, którzy byli wraz ze swymi zespołami w Polsce, i aktorów polskich traktowali nie tylko jako kolegów zawodowych, ale jako dobrych znajomych i przyjaciół. Recenzje te utrzymane w niezwykle serdecznym to-

nie bynajmniej nie powstrzymały się od słusznych krytycznych uwag o szczegółach niektórych naszych przedstawień. Krytyka radziecka nie jest lakierująca nawet wobec gości.

A oto w telegraficznym skrócie i chronologicznym porządku przegląd naszych przedstawień:

„LALKA” (dwa przedstawienia) — brak nerwu dramatycznego i nadmierne rozciągnięcie przedstawienia znużyło widzów nie rozumiejących języka. Krytyka zwracając również uwagę na te dwie cechy przedstawienia podkreślała jednak wysoką kulturę gry wielu naszych aktorów. Drugi, skrócony o dwa obrazy spektakl, miał większy sukces.

„JULIUSZ I ETHEL” (dwa przedstawienia, jedno z nich transmitowane na telewizję) — to przedstawienie zostało najwyżżej ocenione. Jego wymowa ideowa i artystyczna poruszyła głęboko widzów radzieckich. Niewątpliwie był to największy sukces naszego teatru w Moskwie.

„MAŻ I ZONA” (trzy przedstawienia, jedno transmitowane na telewizję) — publiczność bawiła się doskonale, zachwycona lekkością gry i prowadzeniem dialogu.

„WUJASZEK WANIA” — zarzuty wobec koncepcji niektórych ról, pochwały dla innych. Oczywiście Czechowa nie zagraliśmy nigdy tak, jak się go gra w Moskwie.

„CYD” (dwa przedstawienia) — porównanie z niedawną gością w Moskwie Comedie Francaise. Podobną się bardziej u nas patriotyczny patos adaptacji Wyspiańskiego, dobrze wydobyty w inscenizacji.

„TAKIE CZASY” (dwa przedstawienia) — duży sukces u publiczności i krytyki. Ludzie teatru zainteresowali się tą komedią, która będzie wystawiona w Związku Radzieckim.

LUBOMIR DMYTERKO

W DOMKU SZOPENA

Mimozy mnóstwo, róż do woli
I palm — stu krajów wdzięczne dary —
Tu w parku, w Żelazowej Woli,
Kędy słowicze brzmiały fanfary.

Ponad drzewami masz anteny;
Zwisają z niej ku ziemi liście.
Narodom muzykę Szopena
Przenosi ona uroczyscie.

Tu powstał geniusz niespokojny.
Gdy radość twórcza go omota —
Nie zdołał zmóc tęsknoty znoej
Swoich męczeńskich dróg żywota.

I, choć się podniósł na koturny,
On ziemi nie opuścił wcale;
W jego sonatach i nokturnach
Nadzieja jest na światło w dali.

W zieleni szumy wiosny płyną
I zdaje się, że nie opodał,
Osamotnioną gdzieś ścieżyną
Z nutami kroczy Szopen młody.

Piękniejsze jednak nad pomniki
Liści z muzyką pokrewieństwo
I słodko brzmiący szum osiki
Na cześć geniusza człowieczeństwa.

Przełożył: ANDRZEJ CESARZ

JADĄ RADZIECKIE DOSTAWY DLA NOWEJ HUTY

Z łoskotem, hukiem pędzi transport,
Raz mignie most, a raz zwrotnica.
Kierunek: Brześć, radzieckie miasto,
A później znów polska granica.

Wypełnia plan swój maszynista.
Załadowany pociąg? Jazda.
Wraca, gdzie Polska, gdzie ojczyzna,
Ten transport z radzieckiego miasta.

Jedzie z powrotem, pędzi z hukiem...
I znów ogrody, drzew proporce
I rzeka znów pod mostu łukiem,
I wsie, i kolejowe dworce.

Pociąg nie kryje tajemnicy.
Niech patrzą wszyscy na peronach,
Że nie przywozi amunicji,
Ale maszyny ma w wagonach.

Gwiżdże i dudni pociąg ciężki.
Obroty kół na szynach grają.
I odpowiada im zwycięski
Głos pieśni i roboty w kraju.

Radośnie patrzą kolejjarze
Dumni z ładunku i marszruty:
Przywożą w przyjacielskim darze
Radziecki sprzęt dla Nowej Huty.

Przełożył: GRZEGORZ TIMOFIEJEW

A teraz mały spacer w towarzystwie... Fryderyka Szopena. Przechodnie na ulicach Moskwy od razu poznali





Przed początkiem przedstawienia dobrzy znajomi — radzieccy artyści — serdecznie witają polskich gości.

„OBCY CIEN” — woła tutaj własne przedstawienie tej sztuki K. Simonowa. Nie dziwny się.

Oprócz tego Teatr Polski dał trzy ranne przedstawienia dla aktorów radzieckich: „Juliusz i Ethel”, „Takie czasy”, koncert złożony z fragmentów dramatycznych. Poza tym odbyły się dwa koncerty teatralne złożone z fragmentów sztuk Słowackiego, Fredry, Puszkina, Gogola, Moliera: dla studentów w największym wspaniałym gmachu uniwersytetu na Wzgórzach Leninowskich i dla robotników fabryki obrabiarek „Stankolit”. Na koncertach tych nasi aktorzy recytowali też wiersze w języku rosyjskim. A jeszcze dwa występy na wspólnych koncertach urządzonych z okazji spotkań z aktorami radzieckimi.

Bardzo miła i interesująca była wizyta w Teatrze Dramatu i Komedii na próbie „Grzechu” Zeromskiego, gdzie aktorzy nasi na prośbę radzieckich kolegów zademonstrowali kilka fragmentów z polskiego przedstawienia. Poza tym zwiedzano miasto, wspaniałą Wystawę Rolniczą i muzea.

Taki jest bilans ogólny. Trzydzieści dni w Moskwie przeszło aktorom naszym wśród dużej pracy, zważywszy jeszcze, że dochodzi do tego znaczna liczba prób. Na ogromny wysiłek musiał zdobyć się zespół techniczny, który pracował bez przerwy przy wszystkich występach i zasłużył na gorące słowa uznania.

Teatr Polski pozostawił po sobie w Moskwie dobre wrażenie zespołu o wysokiej kulturze gry, dobrym rzemiośle aktorskim i pełnym umiaru artyzmie. To już wiele. Ale poza tym jego występy były okazją do wielu serdecznych zetknięć i spotkań. Stanowiły ważny element dalszego wzmocnienia przyjaźni między narodem radzieckim i polskim. Dobrze tej przyjaźni się przysłużyły.

Dalszy ciąg w Kijowie.

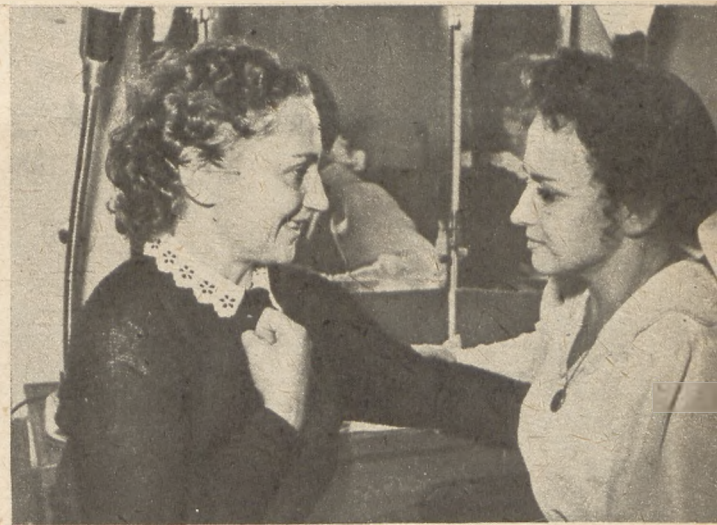
Czesława Wollejkę, wykonawcę roli tytułowej w filmie, który tak się podobał radzieckiej publiczności.



„W jaki sposób udało wam się wychodować owocujące drzewka cytrynowe w Moskwie?” Na to i wiele innych pytań, podczas zwiedzania Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej, odpowiedział artystom agronom Mżawanadze.



Karol Adwentowicz opowiada o swych występach w Moskwie w... dziewięćdziesiątych latach XIX wieku.



Ryszarda Hanin i Galina Paszkowa z teatru im. Wachtangowa mają sobie pewnie wiele do opowiedzenia.

„Sędzia” Maliszewski i „syn Rosenbergów”, Jacuś Sylwin, przed przedstawieniem „Juliusza i Ethel”.



Dyrektor Bronisław Dąbrowski może być w pełni zadowolony z sukcesów Teatru Polskiego w ZSRR.



ZWIEDZIŁEM WYSTAWĘ

ALOJZY SROGA

Korespondencja własna „ŚWIATA” z Moskwy

KWIATY... Róże i jaśminy. Bzy i astry... W życiu codziennym jakże często zaabsorbowani dziesiątkiem spraw — po prostu ich nie zauważamy. Nawet wtedy, gdy zjawiał się na stole pierwszy wiosenny bez lub pachnący jaśmin. Tak to już w życiu bywa...

Ale, gdy wejdiesz, człeku, w wielki świat kwiatów, gdy poczujesz ich zapach, gdy w oczy uderzy gra kolorów, jakiej najwspanialszy artysta nie stworzy — spróbuj pozostać obojętny na to piękno!

Oto aleja, ciągnąca się na kilkaset metrów. Co kilkadziesiąt centymetrów — dalia. Żółta i biała. Fiołkowa i pomarańczowa. Seledynowa i kremowa. Jest ich kilkaset. I każda inna.

A to dopiero początek. Przeprowadzi cię tu aleja tuż obok bajecznie kolorowych dywanów kwiatowych do kilku-skrzydłowego pawilonu kwiatów. Tu oczy same rwą się do wielkich, krwistych róż z mroźnej północy i żarem kąpiącego południa, do wielkich filipińskich lilii z kielichami rozchylonymi jakby na twe powitanie. Idziesz wśród złotych, wesołych irysów — tych corocznych zwiastunów, że lato tuż, tuż... I nagle gwałtowny przeskok od razu do jesiennych astrów, które tłumnie — w fioletowych, białych, liliowych i żółtych szatkach, z małymi i dużymi liśćmi — zajęły rozległe kwietniki.

Sprowadzić by tu lirycznego poe-
te, niechby opiewał te wszelkie kwiaty
miłości i smutku. Sprowadzić by go
tu na Wszechzwiązkową Wystawę Rol-
niczą w Moskwie, gdzie obok cudów-
maszyn, cudów-krów, cudów-jabłoni —
pokazano cud-kwiaty.

Zajęły przylutny pawilon w strefie
odpoczynku, ale znajdziesz je niemal
przed każdym wystawowym obiektem.
Tu jednak, w oddzielnym pawilonie,
mają szczególne znaczenie: człowiekowi
utrudzonemu wędrówką — stworzyć
prawdziwy odpoczynek. W atmosferze
piękna i najszlachetniejszych zapa-
chów.

NOSIŁ WILK — PONIEŚLI I WILKA

Namachał się każdy z nas, z tej
pięćdziesiątki uczestników pierwszej
wycieczki pracowników polskiego rol-
nictwa na moskiewską Wystawę, co nie-
miara.

Jeśli na przykład przypadło dziś
zwiedzanie pawilonów hodowli zwie-
rzęcej — wiadomo: wcześniej niż za
kilką godzin stamtąd nie wyjdiesz,
dopóki nie napatrzysz się na sławne
kostromskie krowy, dla których dać
po sześć lub siedem tysięcy litrów mle-
ka w ciągu roku to — mówiąc języ-
kiem marynarza Szwandii ze sztuki „Lu-
bow Jarowaja” — „jak splunąć”.

A świnię, a wielbłądy, a krowy z
garbem — zebu, których w Polsce nie
ujrzesz, bo aż z Buriat-Mongolskiej Re-
publiki przyjechały na moskiewską Wy-
stawę — wiadomo: rzecz ciekawa.

Ci wszyscy zaś, którzy mają żyłkę
myśliwego, oczywiście nie pominą wspania-
łej psiarni i pawilonu myśliwskiego.
Popatrzą na kolekcję lisów, na zbiory
soboli, rysiów, wydr i innej zwierzyny,
upolowanej od Ałma-Aty po Archan-
giełsk.

Stanie taki myśliwy przed obrazem
przedstawiającym walkę psów z ra-
busiem-wilkami. Napis umieszczony
obok powiada, iż w zimie 1952-53 sfera
psów w obwodzie kalinińskim wytropi-
ła i zniszczyła 107 wilków. Oto, jak
to pies setnie pomóc może człowiekowi
w walce z wilczą plagą.

— Przydałyby się i u nas takie —
mruknął tow. Wacław Różga, nie wia-
domo co prawda, czy jako myśliwy, czy
jako przewodniczący Prezydium WRN
w Rzeszowie.

...Každy więc wedle swego upodoba-
nia znajdzie w dziale hodowli coś dla
siebie. Jak nie olbrzymią świnię, da-
jącą w roku 32 prosięta, to skórę z
kostromskiej krowy, którą sobie szcze-
gółowo obejrzałem. Z naszych krajo-
wych krów skórę kroi się przed gar-
bowaniem na kilka kawałków. Najbar-
dziej wartościowe to „krupony”, które
idą na podeszwy. Z 2 kruponów wy-
chodzi ich 26—28 par. Łącznie po wy-
garbowaniu skóra waży 15—18 kg.
Skóra zaś, którą widzieliśmy w całości
na Wystawie, waży 23,2 kg i cała na-
daje się na podeszwy. Na 96,5 par
męskich podeszew. Skóra ta pochodzi
z normalnej krowy rasy kostromskiej
„Lawa”, ważącej 704 kg. Takiej, jakich
sowchoz „Karawajewo” 4.000 sprzedał
swym sąsiadom — kołchozom i sow-
chozom. Takiej, jakich „Karawajewo”
posiada kilkadziesiąt — dających przecięt-
nie po 6.121 kg mleka rocznie. Taka
to już rasa — dobra, wysokomleczna,
która jak dotychczas nie daje się wy-

przedzić ani krowom simentalskim, ani
stepowym ukraińskim, ani wielu in-
nym.

CO POTRAFI „LK-7”

Jest takie polskie powiedzenie: nud-
ne i beznadziejne jak międlenie lnu.
Rzeczywiście. Zajęcie to może chyba
ustąpić jedynie... wybieraniu ziarenek
maku spośród psianki.

Na Moskiewskiej Wystawie Rolniczej
wśród 600 przeróżnych maszyn: trak-
torów, kombajnów, kosiarek, pługów,
transporterów, samochodów, sadzarek —
pokazano komplet maszyn do uprawy
i zbioru lnu. Siewnik „SL-44” w ciągu
godziny może obsiać do 2 ha pola.

A gdy przychodzi czas zbioru, na
lniane pola rusza kombajn „LK-7”,
który (proszę uważać!): kosi, czesze i
młóci główki i wiąże słomę. Hektar
na godzinę.

Pozostaje — dalsza mechaniczna, prze-
mysłowa przeróbka włókna na biały
obrús czy koszulę, przeróbka siemienia
lnianego na olej. Jest także młocarnia
do lnu, są i inne maszyny.

A żony i matki, które dawniej nie-
jedną godzinę trawiły na czesaniu lnu,
na międleniu go, coraz częściej wypro-
stować mogą swe kości. I spokojnie
mogą zasiąść nad książką, przed radio-
odbiornikiem czy telewizorem.

WSKAŹNIK „0,25”

Salskie stępy w obwodzie rostowskim
były z dawien dawna nieurodzajne,
bezpłodne. Za carskich czasów, a na-
wet w pierwszych latach władzy ra-
dzieckiej, rodziło się tam z hektara
2,5 do 3,5 kwintala zbóż. Raz lub dwa
razy na każde dziesięć lat trafiały się
lata całkowicie bezpłodne. Posucha...

W roku 1928 założono tam wielki
sowchoz zbożowy „Gigant”, liczący dziś
46 tysięcy hektarów ziemi, w tym
gruntów ornych — ponad 36 tys. ha.

Założono go w okresie największych
trudności zbożowych w ZSRR. Miał po-
móc w ich rozwiązaniu. Dobrze — ale
jak?

Trzeba było maszyn. Traktorów. Kom-
bajnów.

Drogo kosztowały pierwsze amery-
kańskie kombajny. Ciężkie dolary po-
płynęły za Ocean, choć przy użyciu
tych kombajnów marnowała się słoma.
Wtedy to mechanik Martynow z „Gi-
ganta” skonstruował słomoplewnik. Po-
łowe słomy uratowano. A z sowchozu



W pawilonie hodowli każdy znajdzie coś
ciekawego. Można tam zobaczyć sławne
kostromskie krowy - rekordzistki, ol-
brzymie świnię, nawet wielbłądy i



poczęły wyjeżdżać pociągi ze zbożem.
Takie były początki „Giganta”, które
z żarliwą serdecznością opisywał Ju-
liusz Fuczik w zbiorze reportaży „W
kraju, gdzie jutro jest już dniem wczoraj-
szym”.

Wraz z „Gigantem” rosły fabryki
kombajnów w Saratowie i Taganrogu.
Dziś pracuje w „Gigancie” 112 kom-
bajnów. One to pomagają sprzątnąć
coraz większy plon. Przez 25 lat istnie-
nia sowchoz dostarczał radzieckim ro-
botnikom prawie 38 milionów pudów
zboża. Tyle, że na załadowanie go trze-
ba by pociągu długości 500 km.

„Gigant” — ma gigantyczne liczby.
Zrozumiałe. Jedną ma niską, małą. Ta
liczba — to wskaźnik „0,25”. Tyle
dniówki roboczej zużywa się tam prze-
ciętnie na całe wyprodukowanie 1
kwintala zboża.

I tak by można snuć opowieść niby
baśnię Szecherezady. Przez 1001 noc.
O legendarnej Kolchidzie, pięknej
krainie nad Morzem Czarnym, gdzie
220 tysięcy hektarów błot i bagnisk od-
dano pod plantacje herbaciane i cytrusy.
O każdym z tysięcy Bohaterów Pra-
cy Socjalistycznej — pracowników rol-
nictwa, którzy tytuł swój zdobywali



nieznane w Polsce zebu. A w pawilonie młodych miezurinowców? Tam znów przyciągają spojrzenia piękne rośliny i oryginalne krzyżówki nowych odmian.



kosztem wielu wyrzeczeń, ofiarności. Pomysłowości.

O kolosie-samochodzie „MAZ-525”, który sam waży prawie 25 ton i drugie tyle ładował na swe platformy przy budowie kanału Wołga—Don.

Opowiadać by można o wspaniałych panoramach Stalingradzkiej i Kujbyszewskiej elektrowni wodnej, które zasilają w wodę spragnione stepy, pola i łąki.

Ciągnąć by tak można opowieść o pięknej architekturze pawilonów, o dekoracjach i rzeźbach, o wspaniałych pomnikach umieszczonych przed pawilonem Białoruskiej Republiki: lotnika Gastello, który spłonął czyniąc z siebie i swej maszyny ostatni pocisk, i wspólnika kolejkarza-partyzanta — Zasłanowa.

O tej bieli i czerwieni, o złocenjach, o kolumnach i attykach. O wszystkim, wszystkim, cośmy widzieli i przeżyli na Wystawie.

...Przyjeździemy tu jeszcze. Przyjeździemy na Wystawę — jeśli akurat nie my, to inni polscy chłopcy. — Zobaczyć jak szybko zmienia się życie — „w kraju, gdzie jutro jest już dniem wczorajszym”.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: SIB

POD ŻAGLAMI

„DARU POMORZA”

GDYNIA — MORZE ŚRÓDZIEMNE

UTRAPU „Daru Pomorza” stojącego „na sznurku” przy luszczarni ryżu, wygrzewa się na jesiennym słońcu duży, bury kot, leniwie obserwując przelatujące mewy. W kambuzie „kok” Przeklasa i żaglomistrz Jakubek gawędzą przy porannej fajce. Poza tym na pokładzie pusto. Większość załogi na urlopach, a chłopcy w szkole.

W świetlicy okrętowej, zamienionej w wystawę prac uczniowskich, pełno wspomnień z dalekiego rejsu.

Na jednej ze ścian — wielka biała mapa rejsu. Komendant „Daru Pomorza” kpt. Z. W. Jurkiewicz przekreśla kontakt i oto mały silniczek zaczyna bezszelestnie pracować. W Zatoce Gdańskiej, nad Gdynią, zapala się punkcik świetlny z datą: 1.6.54 r.

— Rejs rozpoczyna się — wyjaśnia śmiejąc się radioficer Jarosz. — Podnosimy kotwicę.

Patrząc na zapalające się i gasnące na linii kursowej światełka słucham opowieści kapitana Jurkiewicza.

POD ŻAGLAMI PRZEZ „FLINTRYNNE”

„Przejechać się” przez duński farwater koło Kopenhagi było w tym roku trudno. Nie, żeby pogoda... Wiatr był niepomyślny, ale gorzej było z przepisanymi dunkskimi, żądającymi meldowania rejsu na 7 dni naprzód. Cóż było robić? Wzięto kurs na Malmoe i półmłowej zaledwie szerokości szwedzkiej farwater „Daru Pomorza” przeszedł pod żaglami, wzbudzając swoim wyczynem niemąłą sensację wśród krążących tam licznie jachtów i motorówek.

PRZYGODA NA MORZU PÓŁNOCNYM

Morze Północne przywitało „Dar Pomorza” przeciwnymi wiatrami i sztormową pogodą, która trwała przez cały czas przechożenia morza.

I któregoś dnia, u brzegów Anglii...

Słońce akurat zachodziło, rzucając czerwone odbłaski na białe płachty żagli. Z kierunku SW zaczęła narastać szybko chmura, ot taka sobie zwykła chmura. Ale „stary” już wiedział: szkwa! W międzypokładzie, we wszystkich zakątkach statku odezwały się głośniki: wszyscy na pokład! Wachty ze swymi oficerami błyskawicznie zajęły wyznaczone miejsca manewrowe. Wicher jednak był szybszy. Poteżny szkwa! przewalił się fala po pokładzie i położył statek gwałtownie na burtę. Poszły w strzępy dwa bram-zagle. Następny jednak atak wichru znalazł „Dar” przygotowany do walki. Zaczęło się zmaganie ze sztormem.

Przez kilka dni młoda załoga „Daru Pomorza” pokonywała godziną za godziną przeciwnie wiatry, dochodzące do siły 8° wg skali Beauforta, w końcu jednak stare nep-tunisko zmachało się widać setnie i zrejterowało cichcem z pola bitwy.

W Kanale La Manche był już spokoj. Chłopcy byli dumni. Sztorm mieli za sobą.

NIEUDANE POŁOWY

— Śledź na kursie — zamełdowało następnego dnia „oko”. Wieść ta postawiła na nogi nawet wypoczywającą wachtę. „Kok”

Przeklasa otoczony przez swoich kuchcików wyskoczył jak oparzony z kambuza widząc już przed oczyma całe stery śledzika w majonezie. Entuzjazmem łowczym zaraził się nawet komendant, który pozwolił na opuszczenie na wodę dwóch motorówek. Wytrząśnięto skądś jakąś zgoła dziwną sieć i wśród powszechnego dopingu kibiców rozpoczęło „trałowanie”. Nic jednak z tego nie wyszło. Chytre śledzie rozplęchły się lub kryły pod łodziami. Rybacy powrócili z nosami na kwintę. Najbardziej zawiedziony był kuchmistrz...

ATLANTYK SPOKOJNY

Atlantyk okazał się spokojny jak baranek. Rozpoczęło się więc prawdziwe używanie żagli. „Daru Pomorza” robił nawet 13,5 węzła. Piękna to — trzeba wiedzieć — szybkość dla żaglowca.

Wypełnione pracą i nauką dni stały się podobne do siebie jak dwie krople wody. Nawigatorzy poznawali zasady kierowania statkiem, działanie sekstansu, radaru, echosondy, żyrokompasu, uczyli się sygnalizacji, robot linowych, ratownictwa — a mechanicy, elektrycy i radiowcy grzebali się w maszynach, silnikach, radiostacji, wykonując samodzielną pracę remontową i konserwacyjną.

Po zajęciach w świetlicy można było wypocząć, poczytać. Radiowęzeł okrętowy nadał muzykę i wesołe satyryczne audycje. Kino dźwiękowe wyświetlało filmy fabularne i instruktażowe, nakręcone częściowo na statku. Była nawet codzienna prasa. Odbierany przez radio z Ojczyzny „Głos marynarza” był powielany przez chłopców i kolportowany codziennie wśród załogi. Powstał zespół pieśni i tańca. Dużo zajęcia miała „okrętowa fala 49” odpowiadająca sumiennie w swych codziennych audycjach na dziesiątki płań uczniów. Na nudę nikt z chłopców w rejsie nie narzekał.

GIBRALTAR

Ani nie spostrzeżono się, jak 10 lipca w nocy na trawlersie znalazł się Gibraltar. W tym roku z posępnych skał nikt nie błyskał światłem pytając: what ship? — Gibraltar wydał się chłopcom samotny i opuszczony.

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Na Morzu Śródziemnym był „stilu”. Wykorzystano to na intensywne ćwiczenia szalupowe i alarmy „człowiek za burtą”. Złapawszy w końcu wiatr, „Daru Pomorza” wziął kurs na Baleary. 16 lipca br. okrążyło Majorce, znaną z pobytu tam Chopina i George Sand, pozostawiono z południa Sardynię i dnia 20 lipca br. „Daru Pomorza” zakotwił na redzie Palermo.

W RZYMIE I PALERMO

Witany serdecznie, na pokład fregaty przybył przedstawiciel ambasady PRL w Rzymie. Zjawiała się także policja włoska, która z miejsca ograniczyła wyjście załogi na ląd.

Inaczej jednak witali Polaków mieszkańcy Palermo. Na każdym kroku robotnicy nawiązywali rozmowy z chłopcami, pytając o

wieści z Polski i życząc im powodzenia w rejsie. Dnia 21 lipca podniesiono kotwicę i pożegnano Palermo.

22 LIPCA

Dziesięciolecie Polski Ludowej załoga świętowała na morzu. Po części oficjalnej produkcji zespół pieśni i tańca. Odbity się także zawody sportowe w biegach po statku, przeciąganiu liny i wspinaniu się po paduncie. Bokserzy ze szkoły żaglomistrza Jakubka pokazali piękne walki na prawdziwym ringu.

NA KURSIE: OJCZYZNA

W rejsie powrotnym nie było specjalnych przygód. Dzwon okrętowy w dzień i w nocy wybił swoje „szklanki” a czas mierzyl się zmianami wachty w maszyni i na pokładzie. Zgrubiałe od pracy ręce chłopców pilnie wykreślały każdego wieczoru z kalendarzyków dni podróży.

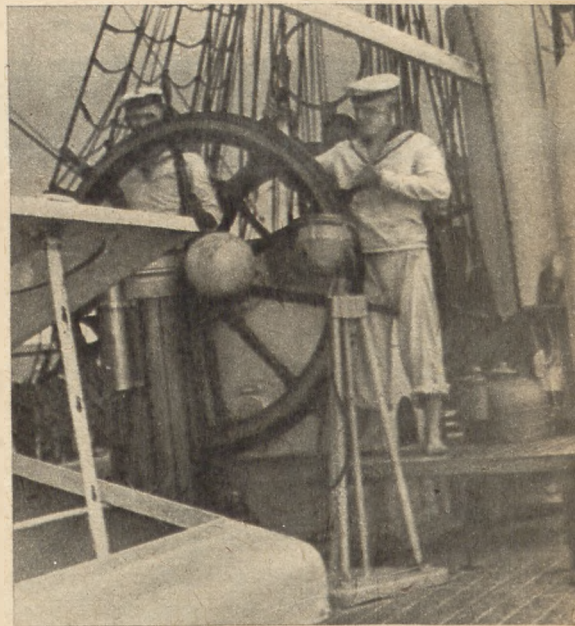
W GDYNI

Na skwerach gdyńskich kwitły już jesienne kwiaty, gdy oficer wachtowy „Daru Pomorza”, Gonera, zapisał w dzienniku okrętowym: „Godzina 00.45 reda Gdyni”.

Pracowity rejs był skończony. „Daru Pomorza” miał za sobą 8000 mil podróży, w tym ponad 5000 mil pod żaglami.

ROLAND KIEWLICZ

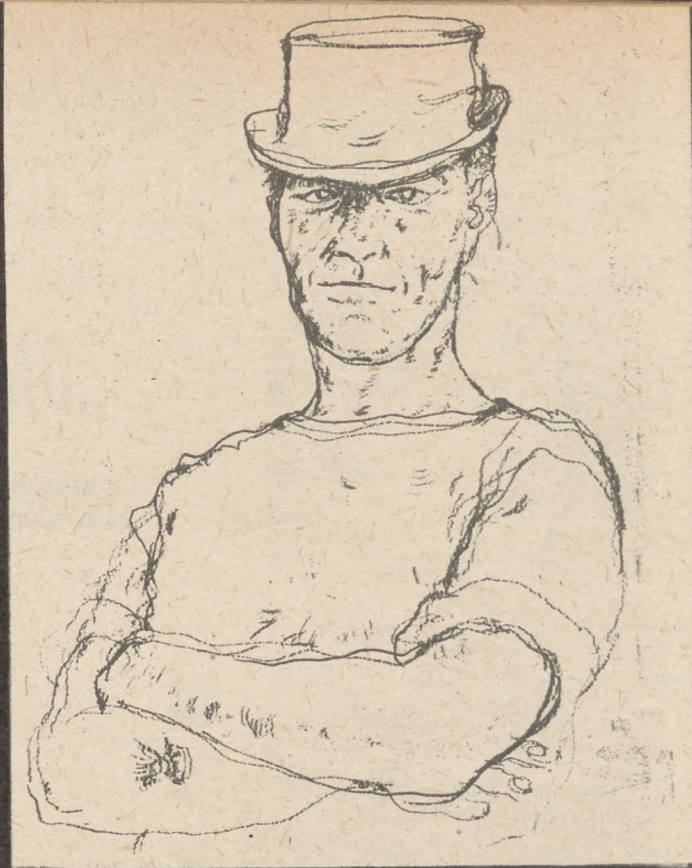
Zdjęcia: MOJNOWSKI



Od sternika zależy bardzo wiele. Młodzi marynarze muszą dobrze znać ster.

W czasie „stilu” też nigdy nie brak roboty. Choć „Daru Pomorza” tkwi wtedy nieruchomo na miejscu, załoga dwoi się i troi. Spuszczono na morze szalupy, słychać alarm „człowiek za burtą”, odbywają się ćwiczenia z sekstanssem. Praca wre.





Słynna fabryka zapalek Bryant and May. Tu strajkowali Eleonora, córka Karola Marksa, i pisarz Bernard Shaw

Portret aktywisty związkowego, tragarza ryb, Lennie Baxter.

A 610 "Gardiner's Corner" — narożna brama, wejście do domów londyńskich

LONDYŃSKA DZIELNICA NĘDZY

Brudne ściany, zniszczone, walące się schody. Tak właśnie mieszkają robotnicy w East End.

TEKST I RYSUNKI: PAUL HOGARTH

PATRZĄC z Tower Bridge na wschód, leży jak daleko sięgnąć okiem londyńska dzielnica „East End”. Jej granicę północną stanowi Islington, południową zaś Tamiza. Cały ten rozległy obszar mieści w sobie szereg przedmieść — a właściwie miasteczek, jak: Stepney, Poplar, Hackney i Bethnal Green. Ludność East End'u wynosi przeszło milion. Jest to największa na świecie dzielnica robotnicza.

W ciągu XIX stulecia Londyn rozbudowywał się i rozszerzał we wszystkich kierunkach. Od 1800 do 1830 r. ludność tej — największej od czasów Rzymu stolicy imperium kolonialnego — wzrosła z 865 tysięcy do 1,5 miliona, a w ciągu następnych dwudziestu lat powiększyła się o jeszcze jeden milion. Kiedy od nadmiaru fabryk, warsztatów, hut i doków miasto zaczęło się dusić, bogacze przenieśli się poza jego obręb, do dawniej wiejskich gmin, które na skutek nie ujętej w karby rabunkowej gospodarki tysięcznych rzesz rzemieślników i kupców całkowicie podupadły. Uboga ludność miasta została na miejscu i gnieździła się w przeludnionych mieszkaniach i przylegających do siebie kamieniczkach, słożonych dokoła ponurych warsztatów pracy. Wzdłuż obydwóch brzegów Tamizy na przestrzeni wielu kilometrów zbudowane zostały doki i składy — cała bowiem flota statków handlowych przywoziła coraz to większe ładunki surowców, zdobywanych nadludzką pracą podbitych narodów Afryki i Indii.

W okresie 1850 r. londyńska dzielnica East End stała się symbolem nędzy, ludzkiego poniżenia i wyzysku, gdzie na trwającej całą dobę w najhulajebniejszych warunkach — pracy mężczyźni, kobiet i dzieci dorabiano się wielkich majątków. Do East End poczęły napływać tysiące ubogich żydowskich rodzin robotniczych, które, szukając tu schronienia przed prześladowaniami w gettach Polski i carskiej Rosji, znajdowały jedynie takie same beznadziejne warunki bytowania w „slumsach” Stepney'u lub Whitechapel'u.

Zahartowana w zmaganiach z nędzą ludność East End'u z chwilą kiedy jej wskazano kierunek walki, szybko zorganizowała się przeciwko kamienicznikom i właścicielom fabryk. W 1880 r. pierwsze organizacje ruchu socjalistycznego w W. Brytanii znalazły trwały grunt w tej właśnie dzielnicy, w East End.

Stąd przyszli również przywódcy, którzy stanęli na czele szybko powstającego ruchu związków zawodowych wśród dziesiątków tysięcy niezorganizowanych dotychczas robotników fabrycznych. Doki i fabryki East End'u były niejako kolebką całej plejady znakomitych przywódców robotniczych w W. Brytanii, jak np.: Tom Mann, Albert Ben Tillet, który stanął na czele wielkiego strajku robotników portowych w 1889 r.

W 1930 r. okazało się, że Brytyjska Partia Komunistyczna jest spadkobierczynią tradycji w kroczeniu na czele nieustającej walki przeciwko kamienicznikom, przeciwko bezrobociu i faszystowskiemu, który aż do wybuchu drugiej wojny światowej usiłował uwić sobie w East End mocne gniazdo. Brytyjska organizacja faszystowska, prowadzona przez Sir Oswalda Mosley'a robiła wszystko, co się dało, by posłać niezgodę pomiędzy żydowskimi i chrześcijańskimi robotnikami, a seria zwycięstw starć osiągnęła swój szczytowy moment w „dziś niemal legendarnej już „bitwie na Cable Street”, kiedy ostatecznie przełamane zostały wpływy mosleyowskich faszystów. Wtedy to cała ludność dzielnicy Stepney wyszła na ulice, by zatrzymać potężną manifestację faszystów, którzy pod opieką policji mieli zamiar przemarszować przez cały East End.

Nadeszły lata wojny. Lokalne walki międzynarodowemu przystąpiły się w konflikt międzynarodowy. Spośród wszystkich zbombardowanych przez lotnictwo nieprzyjacielskie miast i miasteczek w W. Brytanii, ta dzielnica Londynu — East End — ucierpiała najbardziej. Ołbrzymie pożary, jakie wzniesły się na brzegach Tamizy, zamieniły w gruzki stare doki i składy w East End. Tysiące mieszkańców tej dzielnicy zginęło od niemieckich bomb lotniczych, od rakietowych pocisków V1 i V2.

Ludność East End'u, podobnie jak ludność tej części Europy, która znalazła się pod okupacją hitlerowską, ma dziś powód, aby pamiętać o tym, czego dopuścił się hitlerizm niemiecki.

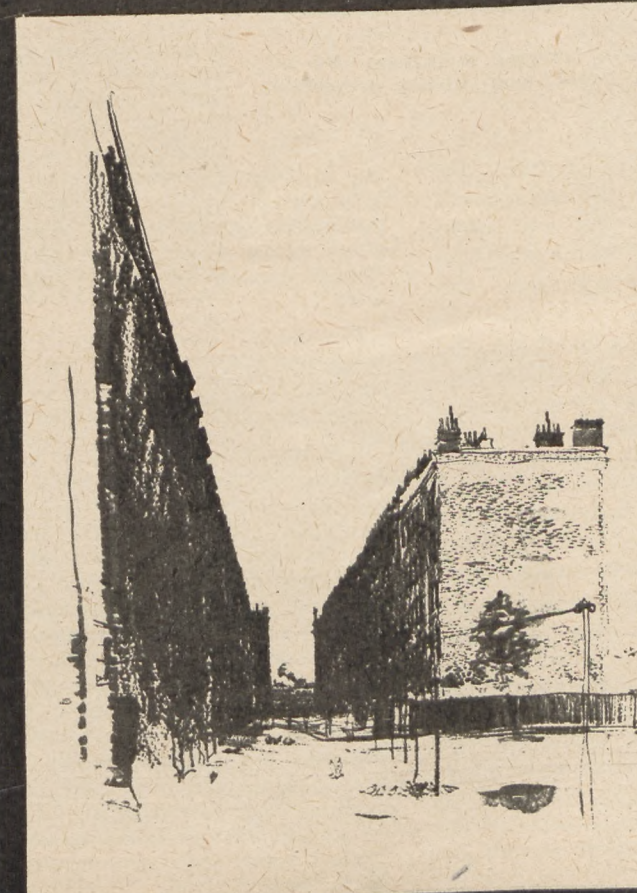
Gdyby wtedy ktokolwiek powiedział, że po upływie dziesięciu lat hitlerowcy z powrotem znajdą się u władzy — uznano by go za szaleńca.

Dziś mury East End'u pokryte są hasłami protestującymi przeciwko uzbrojeniu Niemiec i tworzeniu „armii europejskiej”.

Ludność East End'u walczy bezustannie. I jak zawsze — o słuszną sprawę. Tym razem wraz z narodami całego świata walczy ona o pokój.



Mrs Sexton jest kucharką straży pożarnej w East End.



Domy robotnicze, pozbawione słońca i powietrza koszary.

Pełna wyrazu scena z Hessel Street Market, jednego z najstarszych rynków ulicznych w Londynie

W pobliżu wieży więziennej, sławnej Tower of London, przemawia do robotników komunista Solly Kaye



Z

ACZNIJMY od małego konkursu. Pytanie będzie tylko jedno: co wiemy o kukurydzy? 5 minut do namysłu — i rozpoczynamy.

Pierwszy zabiera głos życzliwy pan w średnim wieku.

— Jestem smakoszem i dla mnie kukurydza to przede wszystkim bardzo smaczne i pożywne danie. Znam takie jeszcze niedojrzałe kaczany, dobrze ugotowane i obłożone masłem? Po prostu palce lizać. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego nie można ich dostać w naszych restauracjach, mamy przecież i jadalnie jarzynie i inne...

— Potraw z kukurydzy jest więcej — wtrąca się podróżnik — a jedna lepsza od drugiej. W Rumunii i Mołdawii słyną mistrzowie w przyrządzaniu mamiłogi, a we Włoszech dochodzi nawet do scen rodzinnych, gdy żona zapomni ugotować polentę. A jakie smaczne jest gominie, kasza kukurydziana z całych, obranych z łupin ziarn...

— Ale przecież i my jemy kukurydę — przerywa mu cukiernik — ciastka naszego wypieku nie byłyby tak białe i pulchne, gdyby nie domieszka mąki kukurydzianej. To naprawdę bardzo potrzebny produkt.

Czy są jeszcze chętni? Od strony podniebienia temat już raczej wyczerpany. Oddajemy teraz głos zootechnikowi, bo macha niecierpliwie ręką, i widać, że nie może się już doczekać.

— Potrawy potrawami, ale kukurydza jest wspaniałą paszą dla zwierząt. Drób karmiony jej ziarnem szybko rośnie i przybiera na wadze, a bydlę chętnie zjada zarówno wypełnione ziarnem kaczany, jak i mięsiste lodygi. Wielkie usługi przynoszą nam, hodowcom, zielone kukurydziane kiszonki; gdy dodajemy je do paszy zwiększa się mleczność krów. Nic dziwnego, dostają w tej postaci poważny zastrzyk białka, tłuszczu i witamin. Nawet ryby przekładają często ziarno kukurydzy nad tłuste robaczki.

— Uprawa kukurydzy opłaca się sowicie — włącza się rolnik. — Gdy przeciętnie plony naszych 4 podstawowych zbóż wynoszą 14 q z hektara, to tu łatwo osiągnąć do 50 q z ha; a dodać jeszcze należy około 1000 q zielonej masy... Kukurydza nie jest specjalnie wybredna, rośnie na prawie każdej glebie, trzeba tylko wywozić na pole dużo obornika. Z tym nie jest tak trudno, bo dobrze odżywione bydlę chętnie rewanżuje się za smaczne ziarno i zielonkę...

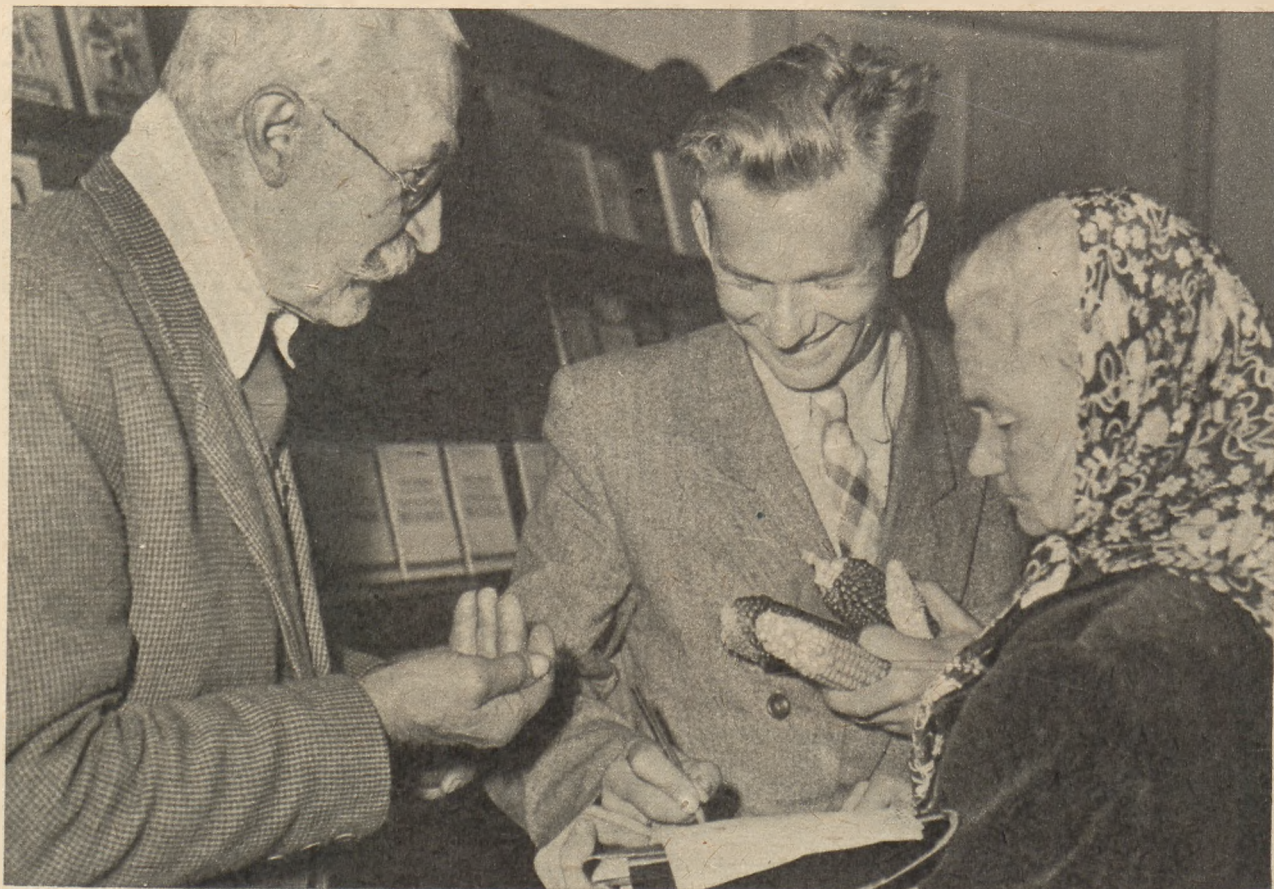
Rolnik chciał mówić jeszcze dalej. Ale przeszkodził mu młody inżynier, przedstawiciel przemysłu lekkiego.

— Zostawcie trochę miejsca i dla nas. I my widzimy wielką przyszłość tej rośliny. Do wyrobu farb i mydła, a nawet imitacji kauczuku, można używać oleju wytłaczanego z kłózków kukurydzy. Wszyscy znamy spirytus pędzony z ziemniaka, a kukurydziany wcale nie jest gorszy. Podobnie z krochmalami. I jeszcze coś dla chorych: z ziarna wyciska się również cenny lek, glukozę. A lodygi, i liście? Te zastąpić nam mogą drewno. Lodygi kukurydzy nadają się do wyrobu papieru, spirytusu butylowego i sześciuset innych artykułów przemysłowych...

Wypowiedzieli się już chyba wszyscy. Nie, jeszcze jedna osoba. Tylko dlaczego taka ponura?

NAJWIĘKSZA NA ŚWIECIE trawa

Napisała:
MARIA OLBRYCHT



Leon Bobiński, Józef Skoneczny i Agnieszka Szostak z ciekawością oglądają nową odmianę kukurydzy. Na lubelskiej naradzie miczurinowców wiele mówiono o tej roślinie, bo ma ona przed sobą wielką przyszłość.

Na polach doświadczalnych stacji w Przebędowie kołyszą się łany dorodnej, sięgającej 2 metrów kukurydzy. To nasza nowa odmiana, Wielkopolańska. Nabrzmięła bursztynowym ziarnem kolby nie mieszczą się już w liściastej okrywie.

Wielkopolańska — to duma naszych naukowców. Wcześniej dojrzewa, pełna, że aż przyjemnie patrzeć, kiedy waży się już setny kwintal z hektara.

Wielkopolańska powstała z dwóch odległych od siebie rodziców: z przywiezionej z oceanu Amerykańskiej Szklistej i naszej rodzimej, choć pełnej wad, Małopolańskiej. Miejscowy tata z importowaną mamą przekazali dziecku wszystkie swoje najlepsze cechy. Jest więc po ojcu zdrowe i dostosowane do naszego klimatu, po matce zaś odziedziczyło plenność i szlachetny, wysmukły zarzys kolby.

Rola „swata“ nie jest wcale łatwa. Kojarzenie małżeństw to sprawa delikatna i odpowiedzialna; ale nowych krzyżówek mamy już w kraju coraz więcej. Nie boi się majowych przymrozków Przebédowska Bursztynowa, dzieło dr Z. Tomaszewskiego i inż. A. Brodowskiej. Dumnie potrząsa wysokimi kiśćmi Czerwony Koral i Wigor, beniaminki prof. T. Olbrychta i prof. W. Nadzwyczajnego. Daleko na pomoc — w olsztyńskie, koszalińskie, gdańskie — zawędrowały Dar Północy i Puławska Ryżowa.

Kukurydza, ta największa w świecie trawa, jest rośliną obco-pylną. Zmysłna przyroda rozdzieliła przeczornie kwiaty męskie od znamion żeńskich. Pierwsze zdobią swymi pierzastymi wiechami wierzchołki rośliny, drugie — kryją się skromnie u nasady liści. Jeżeli pyłek z tego samego egzemplarza zapłodni kwiat żeński, to z wysianego później ziarna wyrasta wątła i rachityczna roślina, ot, takie nieudane dziecię.

Od wieków chroniono kukurydę od samozapylenia, od wieków odrzucano zdegenerowane rośliny. Aż do słabeuszy dobrali się naukowcy. I tu — po prostu rewelacja. Skrzyżowanie dwóch takich „rachityków“ daje ziarno, w których koncentruje się niepożyta wprost energia i żywotność. Ich potomstwo przewyższa normalne rośliny urodą, wysokością i plennością. Wzrost plonów dochodzi często do 100%.

Produkcją nasion mieszańcowych zajęli się polscy uczeni. Ich wysiłek zwiększa już plony naszych gospodarstw, spółdzielni i PGR-ów.

Czy odpowiedzieliśmy już na twoje pytanie, zatroskany sceptyku? Jeżeli nie, to przeczytaj sprawozdania z lubelskiego „zjazdu kukurydzianego“. Tam właśnie 9 i 10 października nasi naukowcy dzielili się swoimi doświadczeniami, radzili nad jak najszybszymi i najlepszymi metodami upowszechnienia uprawy kukurydzy. Dowiesz się z pewnością wielu ciekawych rzeczy, a może — zarażony zapalem kukurydzianych fanatyków — staniesz się gorącym popularyzatorem tej rośliny, przyczynisz się do tego, by jak najszybciej rozprzestrzeniła się od Karpat aż po Bałtyk, by kukurydziany kauczek, bakelity, czy mydło zapełniły półki naszych sklepów.

— Jestem człowiekiem docieklwym, a złośliwi nazywają mnie czasem sceptykiem — przedstawia się ostatni mówca. — Słucham i słucham, ale dręczy mnie jedno pytanie. Jeżeli kukurydza jest tak potrzebna i pożyteczna rośliną, to dlaczego tak mało widzimy jej na polach? Dlaczego nie karmi się nią bydła? Dlaczego nie krochmalimy nią koszul, ani nie chodzimy na kukurydzianych podeszwach?

Sprawa okazuje się wcale nie prosta: cała litania „dlaczego“. Trzeba zatem rzecz wyjaśnić.

Miał rację rolnik, że z samą uprawą kukurydzy nie ma specjalnych kłopotów; ale są, i to znaczne, z zaaklimatyzowaniem tej południowej rośliny. Z wytworzeniem plennych i dostosowanych do naszych warunków odmian.

Kolebką kukurydzy jest południowy Meksyk; później rozprzestrzeniła się w całej Ameryce i wraz z Kolumbem dotarła do Europy. Jest więc kukurydza rośliną krótkiego dnia. Lubi słońce, ale

tylko przez dwanaście godzin, aby później odpoczywać w ciemnościach długiej i ciepłej nocy. Jak więc zaspokoić te zachcianki? Przecież nie skrócimy czerwcowych i lipcowych dni, nie wydłużymy nocy...

To jeszcze nie wszystko. Kukurydza jest wrażliwa na temperaturę. Do równego kiełkowania potrzebuje przynajmniej 12° C, a później wymagania jeszcze wzrastają. Jak zapewnić roślinie należytą temperaturę, jak ustrzec ją przed działaniem przymrozków, gdy sieje się ją w maju, a zbiera w końcu września lub początkach października?

Drogę pokazali nam radzieccy miczurinowcy. Skoro góra nie chce przyjąć do Mahometa, Mahomet musi pójść do góry. Nie potrafimy skrócić dnia, nie umiemy jeszcze przystosować naszego klimatu do wymagań kukurydzy — trzeba zatem zmienić wymagania tej rośliny. Zabrał się więc radziecki uczeń do uodporniania kukurydzy, do tworzenia nowych odmian. Ich śladem poszli i nasi agrobiologowie.

Fot.: CAF

FOTO

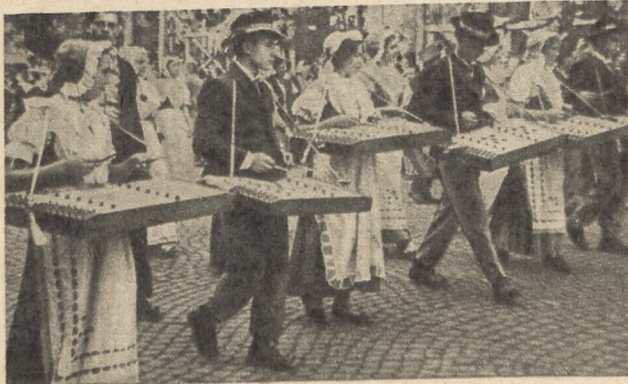
KORRESPONDENCI DONOSZĄ

„BYŁO CYMBALISTÓW WIELU...”

W Wołowie na Dolnym Śląsku znany jest 17-osobowy zespół cymbalistów, zorganizowany i prowadzony przez Franciszka Kaduszkiewicza. O historii jego powstania tak opowiada mistrz Kaduszkiewicz:

— Na Wileńszczyźnie, gdzie się urodziłem, zachowywały się dotąd stare, ludowe cymbały. Jako mały jeszcze chłopiec zrobiłem je sobie sam i grywałem na nich. Dziewięć lat temu, tj. od chwili przyjazdu na Dolny Śląsk, zaczęła mnie „prześladować” chęć utworzenia orkiestry cymbalistów. Chodziłem po domach, rozmawiałem z ludźmi, namawiałem, aż znalazło się paru chętnych.

— Wziąłem się więc do roboty: wykonałem 16 instrumentów i zacząłem uczyć grać przyszłych członków zespołu. Nauka szła coraz lepiej, aż wreszcie odważyliśmy się na pierwszy występ publiczny. „Mazury”, „Polki”, dolnośląskie pieśni ludowe znalazły chętnych i wdzięcznych słuchaczy wśród



Ze starych wsi litewskich przywędrował „Jankielowski” instrument na lubelskie dożynki

mieszkańców Wołowa. Potem przyszła kolej na koncerty w coraz odleglejszej okolicy — wspomina Kaduszkiewicz. — Poznał nas cały Śląsk. Zachęcani powodzeniem zaczęliśmy wzbogacać nasz reper-

tuar, podnosić poziom wykonania. Podczas tegorocznego Festiwalu Pieśni i Tańca graliśmy na Górze św. Anny, graliśmy też na Dożynkach w Lublinie.

M. Zacharski, Wrocław

„Na czym pojedziemy tej zimy?” — martwili się sportowcy z centralnej sekcji saneczkarstwo — bobslejowej ZS „Spójnia”. Zbliżają się bowiem Bobslejowe Mistrzostwa Europy, a sprzęt używany w roku ubiegłym jest już mocno przestarzały. Co robić? — zastanawiali się.

Praktyczną odpowiedź na to pytanie dał jeden z naszych czołowych bobsleistów, re-

prezentant Polski, mistrz sportu, Stefan Ciapała z Nowego Sącza. Opracował on mianowicie projekt i wykonał model bobsleja, udoskonalając sprzęt zeszłoroczny (także swego pomysłu), który używany już był przez naszych sportowców na Mistrzostwach NRD w Oberhofie.

Udoskonalony model, o nowoczesnych i opływowych liniach, lepiej trzyma się toru i amortyzuje wstrząsy.

„Bob” konstrukcji Stefana Ciapały da się wykonać całkowicie z surowców krajowych i będzie o połowę tańszy od importowanych, choć nie ustępuje im pod względem wytrzymałości.

J. Dąbrowski, Nowy Sącz



Stefan Ciapała, konstruktor nowego modelu bobsleja.

2:0 DLA WARSZAWSKICH SPORTOWCÓW

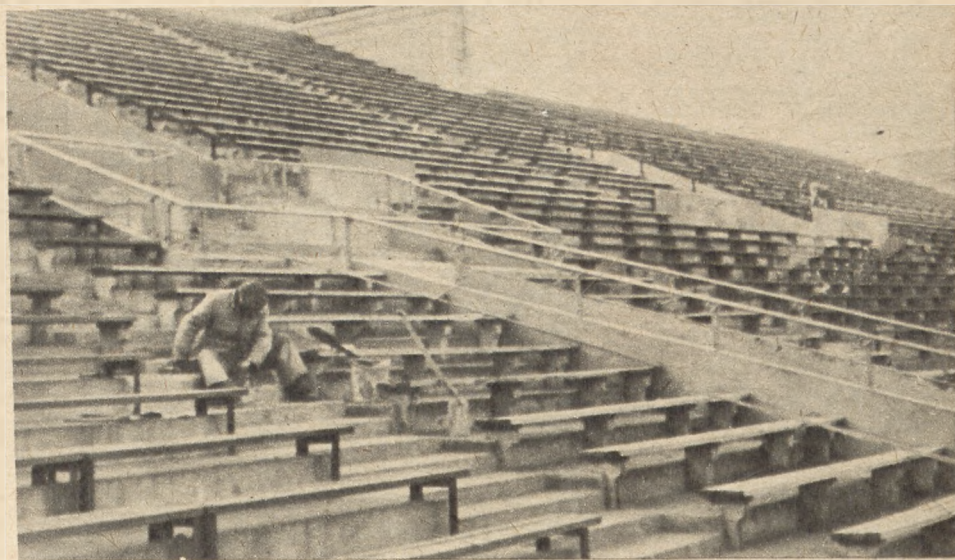
W niedługim czasie Warszawa wzbogaci się o dwa piękne obiekty sportowe. Na Pradze, na terenie budowy wielkiego stadionu, prowadzone są już prace przy betonowaniu tunelu prowadzącego do

łóży honorowej. Stadion praski pomieści 70 tys. widzów i będzie największym tego rodzaju obiektem Stolicy. Do użytku oddany będzie w lipcu przyszłego roku.

Na żoliborskim stadionie

„Kolejarza” natomiast — z którego częściowo korzystają sportowcy już od roku 1952 — powstają obecnie korty tenisowe, boisko do siatkówki, koszykówki, basen pływacki i inne obiekty treningowe.

K. Kulicki, Warszawa



Trybuna na boisku „Kolejarza” umieszczona będzie na dachu budynku administracyjnego.

PIERWSZY RAZ NA SCENIE AMATORSKIEJ



Barony, pełen życia taniec rosyjski z II aktu „Niespokojnego szczęścia”

Wśród wielu imprez w Mieście Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zespół pracowników Portu Gdynińskiego wystawił — po raz pierwszy na polskiej scenie amatorskiej — operetkę radzieckiego kompozytora Milutina, „Niespokojne szczęście”.

Starannie przygotowane widowisko cieszy się dużym powodzeniem na Wybrzeżu.

J. Krysiak, Gdynia

„ZŁOTA KACZKA” W STOLICY

Balet Jana Maklakiewicza „Złota Kaczka”, osnuty na tle starej warszawskiej legendy, będą mogli obejrzeć wkrótce mieszkańcy stolicy, gdyż Państwowa Opera Śląska ma zamiar przyjechać z tym spektaklem do Warszawy.

Pierwsze przedstawienie baletu (w układzie Jerzego Kaplińskiego) odbyło się na scenie Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu przed trzema laty.

Zespół baletowy objechał z tym przedstawieniem cały Śląsk, wystawiał je również w Łodzi, Krakowie, Cieszyźnie i Warszawie, a w ubiegłym sezonie podczas IV Festiwalu Młodzieży — w Bukareszcie.

Obecnie na scenie bytomskiej trwają ostatnie przygotowania nad wznowieniem pięknego baletu Maklakiewicza.

M. Banaszyński, Bytom



Scena z aktu I „Złotej Kaczki”. Szewczyk (B. Bolewicz) otrzymuje od Antykwarusa (A. Śnieżyński) książkę z legendą o złotej kaczce

ZA NAJLEPSZĄ AMATORSKĄ FOTOGRAFIĘ ARTYSTYCZNĄ

Polskie Towarzystwo Fotograficzne (Oddział w Warszawie — ul. Śniadeckich 10) nadesłało nam komunikat następującej treści:

Komitet Organizacyjny VI Ogólnopolskiej Wystawy Amatorskiej Fotografii Artystycznej podaje do wiadomości, że za najlepsze prace przyznane będą nagrody:

I zespołowa CRZZ w wysokości 2.000 zł, II zespołowa w wysokości 1.000 zł dla najlepszych związkowych kół fotoamatorów za cykl sześciu (przynajmniej) zdjęć odtwarzających życie załogi, działalność zakładowej organizacji związkowej, szczególnie w dziedzinie kulturalno-oświatowej i sportowej,

a ponadto 9 nagród indywidualnych ufundowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Centralną Radę Związków Zawodowych, Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Fotograficznego i Komitet dla Spraw Turystyki.



Józef Wasilewski z Imielna

Na lubelskim zjeździe miczurinowców było wielu przodujących rolników i hodowców, odznaczonych przez państwo za wzorowe prowadzenie gospodarki. Wśród nich był i Feliks Zadebski z Imielna (woj. kieleckie), który wyhodował krzyżówkę

gruszek, ważących blisko 840 gramów jedna, Piotr Przemysławski z Budzyna (woj. warszawskie) osiagający dobre wyniki w uprawie winogron, arbużów i melonów, Stanisław Woźniak z Zelkowa (woj. warszawskie) uprawiający rośliny olejiste i kapustę abisyńską (17 kwintali z ha). A z wzorowych hodowców — Jan Nerwiński z Krakowa (woj. białostockie), Władysław Książkowski z Siochorzby (woj. warszawskie) i wielu innych.

Dzielił się oni swymi doświadczeniami, opowiadali o nowych metodach pracy przynoszących nieosiągalne dotychczas plony w ogrodzie i na polu.

Radzili miczurinowcy nad tym, jak upowszechnić swe zdobycze, jak zachęcić innych do pójsia w ich ślady.

W. Marel, Lublin



Od prawej: F. Zadebski, J. Nerwiński, P. Przemysławski, W. Książkowski i S. Woźniak na zjeździe w Lublinie

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

OD I DO CZYTELNIKÓW

S. Sobociński z Warszawy nadesłał nam obszerny list z opisem sposobu „wywoływania przy świetle dziennym”. Sposób ten polega na tym, iż z danego filmu, który wywoływać będziemy w puszcze, ucinamy kawałek zaświeconego, początkowego odcinka i przy świetle dziennym wywołujemy go równocześnie w miseczce w odrobinie wywoławca. Przy dostatecznym zaciemnieniu emulsji uznajemy czas wywoływania za właściwy i jednocześnie przerywamy wywoływanie w Correxie.

Metoda ta znana i stosowana od wielu już lat, podawana była w przedwojennej literaturze niemieckiej. Jest ona jednak bardzo niedokładna i pozwala jedynie „z grubszą” ustalić czas wywoływania. Nie potrafimy bowiem określić odpowiedniego zaciemnienia emulsji negatywów małoobrazkowych, nie możemy wywoływać do maksymalnego krycia, gdyż nadmierne kontrasty uniemożliwiłyby wykonanie powiększeń. Badanie krycia negatywu w przezroczu, jak to radzą niektórzy autorzy, określając, iż odpowiednio zaciemnienie zaświeconej końcówki taśmy małoobrazkowej pozwala na dojrzenie włókien żarówki, zawodzi w tym wypadku, gdyż negatyw jest jeszcze nie utworzony. Tak więc, powyższy sposób kontrolowania czasu wywoływania nie jest dokładny, ani też nie daje możliwości „dościągnięcia” w wywoławcu filmu niedoświetlonego. Za pomocą tego sposobu można najwyżej stwierdzić czy proces wywoływania w „Correxie” przebiega właściwie.

„Fotoamator ze Strykowa”. Filmy małoobrazkowe produkcy krajowej dotychczas, niestety, dawały słusze podstawy do skarg i zniechęcenia w pracy. Na ich szarym i grubym ziarnie nie pomaga czystość i dokładność obróbki laboratoryjnej, opisanie w liście. Z załączoną jednak próbki (odcinek filmu i powiększenie 6 x 9 cm) wnoszący należy, iż można osiągnąć lepsze rezultaty, stosując papier o gradacji mniej kontrastowej, naświetlając go przy tym krócej i wywołując dłużej, do właściwej, głębokiej czerni.

St. Jerzykowski, Kutno. Brak zaopatrzenia w materiały fotograficzne są nadal bolesną wszystkich fotografujących, zarówno amatorów jak i zawodowców. Kłisze szklane 9 x 12 cm ukazują się w sprzedaży nieregularnie i w niedostatecznej ilości. Radzimy nie pozbywać się aparatu, lecz poczekać na okazję i zaopatrzyć się w zapas negatywów. Można też okazynie nabyć adapter, pozwalający na stosowanie do tego aparatu błon zwojowych 6 x 9 cm.

J. Tarkowski, Bydgoszcz. Kasety metalowe na kłisze do aparatu „Berghell” Voigtlandera 6 x 9 cm można nabyć tylko okazynie. W Warszawie kasety takie były w sprzedaży w sklepach spółdzielni „Polifoto”. A może kto z licznym rzeszy fotoamatorów odstąpi takie kasety naszemu Czytelnikowi, o co prosim o w swym liście?

St. Grzela, Wadowice. Obiektyw od projektora nie można zastosować do powiększalnika. Obiektyw taki, o bardzo prymitywnej konstrukcji, posiada liczne błędy optyczne, które w rezultacie dadzą obraz nieostry. Aparat do powiększenia wymaga użycia anastygmatu, złożonego z trzech lub czterech soczewek, precyzyjnego, starannie skorygowanego i ostro rysującego całą powierzchnię obrazu.

„JASKÓŁCZE GNIAZDO”

JERZY GRYGOLUNAS

Zdjęcia: A. ŚMIETAŃSKI

15 LIPCA, TRZECIEGO
DNIA „KRONIKI PEWNEJ
PODRÓŻY”

W Opolu też śpiewają Marynki. Piosenka opada z głośników w pył niedzielnego popołudnia. Powtarza ją staruszek drepzczący nad wodą Młynówki, dziewczyna z łodem na Placu Wolności, konduktor z miejskiego autobusu. Rytm ulic przypomina karuzelę. Wszyscy idą na rynek, przystają przed kamieniczkami, przglądają im się czule jak kobiety nowym sukienkom. Kroczą po nagranych słonecznym chodnikach, patrzą na półokrągłe wykusze „kropidłowskie” na rogach domów (Jan Kropidło, syn Piasta Bolka III, arcybiskup gnieźnieński, który zapisał rodzinemu miastu ten charakterystyczny, tylko tu spotykany, styl architektury: w. XV), siedzą twarzą ludzi, przysłuchując się strzępkom rozmów: „A może byśmy skoczyli do Turawy”, „najlepsza kawa jest pod „Pajakiem”, „Unia” wczoraj wygrała 5:3”. Słońce jest jasne, wysokie. Ludzie cieszą się lipcową niedzielą. Czarny kruku z Bonn: tu wszystko gra ci na nosie: kamieniczki i skwery, dzieci, młodzi i starcy, a nawet odkryty na wykopaliskach ażurowy damski trzewiczek z XII wieku.

Opole było zniszczone. Dziesięć lat pracy przywróciło miastu wygląd doskonały, w odbudowanych gmachach powstały szkoły, muzea, domy kultury. Jest w tym wszystkim świeżość, pochwała życia. Tu każdy dzień ma swą historię, tu każde jasne nocą okno opowiada. Spaceruję po zmartwychwałym rynku. Ile pracy i kunsztu w piękno tych linii włożyły ręce murarzy. Miłość do rzeczy martwych jest mała, ale kamień, mur, drzewo, są tylko wtedy martwe, gdy człowiek nie da im swego serca.

Najpiękniejszą kamieniczką rynku jest ta, w której mieszka Wladek. Ma ona tynk koloru mięsa łosia, misterne zdobienia rokokowe, sześć okien, dwa zawieszane niżej na półpiętrach, cztery normalne, jak wszędzie. Właśnie Wladek opowiedział mi historię o Trudzie, Francku i Jaskółczym gnieździe.



PO SZEROKIEJ wodzie odrzańskiego jazu płynęła łódka. Barczysty mężczyzna wiosłował, a mała dziewczyna sterowała ku bulwarom miasta. Oddalały się drzewa wysepki Bolko, rosły ogrody, wyspy Pasięki i wysoka wieża opolskiego ratusza. Dziewczyna mogła mieć lat osiemnaście. Jasne jej włosy były krótko podcięte, opalone ciało pokrywała zielona wiosenna sukienka, zmrużone oczy patrzyły smutno. Muskularne ręce mężczyzny unosiły wiosła znad wody, nogi ukryte w niebieskich spodniach robotniczego kombinezonu kurczyły się i prostowały. Milczeli. Do słuzu wpełzał holownik z trzema czarnymi barkami. Dziewczyna gryzła łodyżkę trawy. Powiedziała:

— Jednak musimy się rozstać. Ojciec ubzdurał sobie, że jesteś łobuzem.

Mężczyzna strzyknął śliną przez zęby.

— Niech majster gada, ale ja zabiorę ciebie. Obruszyła się.

— Francek, tak nie idzie. Ojciec nie może wiedzieć o naszym spotkaniu.

Mocniej zagarnął wodę wiosłami. Dwie seledynowe strugi prysnęły do łódki. Podkurczyła nogi. Roześmiał się.

— Nie bój się, Truda. Myślisz, że stary by się zmarł?

— Czym?

— Jakbyś nie wróciła do domu?

— Francek!

— Co Francek? Jestem łobuzem. Obilem przecież mordę Fyrnysowi.

Truda zanurzyła dłoń w wodzie. Nisko nad falami latały przezroczyste ważki. Holownik zniknął w otwartych drzwiach słuzu. Tylko barki odcinały się czarną smugą od zieleni brzegu. Robotnik położył wiosła.

— To moja wina, że kocham cię i nie chcę, byś szła za Fyrnysa?

Dziewczyna milczała. On dalej mówił.

— Gnaty mu pomacałem, bo nie lubię takich, co się podlizują. Wie, że z tobą chodzę, a czepia się. Byłaś z nim na lodach?

Truda zaczęła płakać. Ramiona jej drgały. Wiosło głęboko zanurzyło się w wodzie i łódka gwałtownie skręciła. Głośno powtórzył.

— Byłaś z Fyrnym na lodach?

Słychać było tylko bliskie już nawoływania dzieci i pochlipywanie dziewczyny. Powtórzył.

— Gadał, bo utopię.

— Byłam, ale nie sama.

— Kto był jeszcze?

— Ojciec.

— I wtedy obiecałaś, że za niego wyjdiesz?

— Nie obiecywałam. To tylko Fyrnys prosił.

— Ojciec zgodził się?

— Tak.

— A ty?

— Ja powiedziałam, że mam narzeczonego.

— I co wtedy.

— Ojciec się strasznie rozgniewał.

— Co mówił?

— Tak jakoś: za pijaka córki nie wydám. Nie będziesz się z łazęgą włóczyła.

Mężczyzna w złości pchnął naprzód łódkę.

— Mówił coś jeszcze?

— Chwalił Fyrnysa, że jest gospodarny, pieniędzy nie trwoni i będzie dobrym majstrem.

Franciszek lekceważąco wzruszył ramionami.

— Majster z niego będzie nietęgi.

Truda chwilę milczała. Jednak ciekawość przemogła.

— Dlaczego?

— Bo głupi. Ciężki ma umysł. Ot co!

— A ty pijesz gorzałkę.

Spojrzał ze złością na przygarbione plecy dziewczyny. Szukał odpowiedzi. W końcu zawyrokował.

— Dzisiaj piję. Jutro mogę nie pić.

Przegięła się w biodrach i znów usiadła przodem do niego. Jej zmęczoną płaczem twarz ożywił narastający śmiech.

— Francuś, to przestań pić.

Na brzegu rybacy łowili ryby. Powiedział jakby do nich.

— Nie dają mi cię, no to wódką zalewam serce.

Truda ukucnęła na deskach mokrych od wody i oparła dłoń o kolano mężczyzny.

— Przestań pić. Ja przecież ciebie kocham.

Objął dziewczynę i pocałował jej skrzywione usta. Na brzegu rybacy zaczęli gwizdać. Pogroził im pięścią, ale wesoło zaśpiewał.

— Adiu fruziu.

Dziób łódki uderzył o kamienną tamę wyspy Pasięki. Pożegnali się przy niskim drewnianym mostku, nad starą piastowską Młynówką. Truda bała się spotkania ze swoim ojcem, majstrem Sebastianem Grzonką.

Franciszkowi następnego dnia minął humor. Tynkował wnętrza barokowej kamieniczki na rynku opolskim. Rzucił właśnie kielnią wapno na sufit pokoju, gdy wszedł majster. Murarz udawał, że go nie widzi. Śledził

miny starego: pod daszkiem granatowej czapki krążyły wąskie, błyszczące oczy. Długi nos ginał jak we mchu, w brunatnym wąsiku. Twarz, zeszpecona blizną na froncie wschodnim, kipiąco się uśmiechała. Majster Sebastian chrząknął i zrobił fachową uwagę.

— Nie ciepaj tyle wapna na raz, bo się fajdasz zbyt.

Franciszek ukłonił się. Chciał grzecznie pozdrowić ojca Trudy, ale zabrakło mu słów. Powiedział tylko:

— Dobry dzień, majster.

Grzonka zawrzał.

— Myślisz, że na romanse przyszedłem? Dzień do bry, ale nie dla złodzieja.

Murarz trzymał na kielni wapno. Opanował się, aby nie chlusnąć w kaszkieta Sebastiana.

— Kto złodziej? Czego chcecie majster?

— Ty dobrze wiesz. Możesz się obliczać. Trudy ci nie dam.

Franek próbował tłumaczyć.

— My się kochamy.

To jeszcze bardziej zagniewało Grzonkę.

— Na łódce zachciało im się spacerować. Całe Opole widziało jak ją ruszałeś.

— Ja Trudy nie zepsułem!

Franek stał wysoko nad majstrem. Ciągłe trzymał nad głową kielnię, z której wapno kapało na deskę kozła. Rzeźba wyrażająca sprzeczność: bunt i pokorę.

Grzonce zadrzęły policzki.

— Truda ciebie nie chce. Nie bój się; ona posłucha ojca! Wie, że jej dobrze radzi.

Wielkimi krokami wypadł na schody. Krzyknął z pół piętra.

— Jutro tynkujesz z Fyrnymsem rokokową. Jak będzie haja, to pogadamy inaczej.

Wieczorem Franek włożył się po ulicach Opola. Kupił pół litra czystej z czerwona kartką i pobiegł na Pasiekę. Przeprowadził się łódką na wysepkę Bolko. Rybacy poznali go.

— Karuzo dzisiaj bez dziewczynki?

Udawał, że nie słyszy. W gęstej trawie niedaleko klatek Zwierzynca wybił dźwięk z butelki korek i włożył szklaną szyjkę do wyschniętego gardła. Tracił nadzieję, że Truda będzie jego żoną. Stary uparł się. Fyrnys? Żadna konkurencja. Jeszcze raz go obije. Może Lublinem majster Sebastian gardzi?

Czy Opole jest większe, czy bardziej piękne? Pokazałby mu kamienicę mistrza Klonowicza. Stary takiej nie oglądał jak żyje. Bliższa koszula na ciebie, niż koszula w sklepie. Franek chciał wstać i biec do mieszkania Grzonków, ale mu się nogi zaplątały w korzenie. Wódki pić nie będzie. Majstrem zostanie. Cóż Fyrnys? Chłapie wapnem jak baba w balii. Ojciec kłamał, że Truda go nie kocha. A wtedy na Odrze? Przecież ludzie widzieli, że go całowała. Wydało mu się, że krzyczy. Ale tylko cichutko szepnął trawie: adiu fruziu — i zasnął obejmując butelkę.

Wschodzące słońce różowiło fale rzeki. Brudny, mały pies dozorczy służył polował w krzakach na wróble. Wyskoczył na polanę, nasrozył sierść i zaczął warczeć. Wszedł brązowym nosem. Polizał pustą butelkę po wodce, a potem słoną twarz śpiącego człowieka. Franek otworzył oczy i cicho zagwizdał. Bolała go głowa. Pies uskoczył w bok. Szczekał, rzucał się na murarza, udawał, że chce gryźć, przysiadł na tylnych łapach i kręcił krótkim ogonkiem. Murarz przypomniał sobie wczorajszą libację. Podniósł butelkę i rzucił do rzeki. Czterdziestopięcioprocentowa nędza człowieka! A przyrzekał Trudzie. Cmoknął na psiaka.

— Wiesz Ciapek, że człowiek świnia?

Szczeniak kręcił ogonem i śmiesznie podskakiwał. Franciszek rozbierał się.

— Zgadnij Kajtek: jak w błocie znajdziesz wieprza i człowieka, to większą świnia będzie wieprz czy człowiek?

Psiak chwycił but mężczyzny i tarł się w trawie.

— Zostaw ciaptaku. Wiesz, że mam tylko jedną parę na zmianę?

Kundel patrzył na mężczyznę uśmiechniętymi, zaropiałymi oczkami. Ten gimnastykował nagi, potężne ciało.

— Szczeniaku jesteś i nie znasz życia.

Zza Odry wynurzał się piękny dzień. Franciszek wszedł do wody. Ciało kołysało się na drobnych złotych falach. Pływał, nurkował, przyskał na psiaka. Majster Sebastian i Fyrnys zniknęli w zielonej wodzie. Truda tylko śmiała się i szła w swej cienkiej sukience przez ulicę Opola. Murarz wszedł do łódki i skrzyknął ku miastu. Kundel biegł po brzegu dużymi susami, a potem głośno, żałośnie szczekał.

Była godzina szósta. Radio Opole nadawało program. Cień wysokiej wieży ratusza leżał na trzech rokokowych kamieniczkach: białej, różowej i seledynowej. W ozdobnych oknach wisiały story i firanki. Pod szarymi arkadami Miejskiej Rady Narodowej, w ciepłych kwadratach słońca przechadzali się turyści. Mężczyzna nioś plecakiem z kocami i rondelkami. Kobieta robiła zdjęcia odbudowanych kamieniczek. Franek usłyszał:

— Niemcy utrzymywali to wszystko w szarym tonie. Patrz, ile stare domy mogą mieć uśmiechu.

Kobieta była szczupła, niska, jasna. Przypominała mu Trudę. Poszedł na budowę. Z tej strony rynku kamieniczek jeszcze nie otynkowano. Cichy głos łaskotał mu ucho.

— Ile stare domy mogą mieć uśmiechu.

Rokokowa kamieniczka niczym się jeszcze nie wyróżniała. Stała obok niej i przedrzeźniała turystów.

— Te okna, te linie...

Strzelił śliną w porzucony u płotu kubełek i wiał do wnętrza budynku. Zaskoczył majstra i Fyrnysa: nim przyjdą, ściane otynkuje. Zmienił ubranie, rozrobił wapno, przygotował narzędzia. Kozioł i deski wniósł na pierwsze piętro. Kielnię zatkał za pas, rajberkę położył przy parapecie. Wyjrzał na ulicę. Turyści stali teraz przed jego kamieniczką. Kobieta wzniesioną ręką pokazywała okno. Pomyślał.

— Gapią się na mnie, czy co?

Nagle zauważył, że siedzą lot jaskółki. Wzruszył ramionami.

— Też mają zajęcie.

Wrócił na parter po szaflik z wapnem. Rozpoczął tynkowanie. Potrzebna mu była rajberka. Sięgnął do parapecu. Turyści stali ciągle na dawnym miejscu. Zaklął.

— Wazni architekci.

W tej samej chwili, gdzieś spoza attyki ratuszowej, zaświecił biały brzuszek jaskółki. Ptak ześliznął się po powietrzu i zniknął w sąsiednim oknie kamieniczki rokokowej. Murarz zajrzał przez drzwi. Wysoko pod sufitem wisiało gliniane jaskółcze gniazdo.

Samczyk podawał samice żółtą gąsieniczkę. Polykała żarłocznie. Otwierał dziób, dotykał nim dziobu samicy, piskzał, poruszał w miejscu granatowymi skrzydełkami, opadał ku podłodze, znów unosił w górę wyfractone ciało i z głośnym świergotem wyfrwał na łowy. Samiczka patrzyła, aż zniknie w drgającym kurzem powietrzu ulicy.

— Mały, że czapką można nakryć, a zupełnie jak człowiek.

Pusta kamieniczka dawno stała pod dachem. Jaskółki ulepiły gniazdo i samiczka zniosła jajeczka. Zapomniał, że chciał zaskoczyć majstra i Fyrnysa. Podsunął kilka cegieł, usiadł za futryną i obserwował okno pokoju. Rozmarzyła go miłość jaskółcza. Wszyscy się kochają: zwierzęta, ludzie, ptaki. Widział papużki nierozłączki: jak jedna ginie to i druga umiera. Znieruchomiał. Samczyk wleciał do pokoju z nową zdobyczą. Powtórzył czułe igraszki i zniknął za wieżą ratusza. Teraz odezwały się kroki na schodach. W drzwiach stanął Fyrnys. Bąknął pod nosem.

— Dobry.

Franciszek postanowił być grzeczny. Odburknął.

— Dobry.

Fyrnys przyniósł swoje narzędzia murarskie, zszedł po deski i kozioł, wtaszczył szaflik z wapnem. Zagospodarował się w sąsiednim pokoju pod jaskółkami. Frankowi nie wypadało więcej patrzeć na plasią miłość. Powrócił do tynkowania.

Poderwał go jaskółczy lament. Samiczka i samczyk fruwały pod sufitem, a Fyrnys zabierał się do zerwania gniazda. Był niski i krępy. W rękę trzymał murarską łapę, podskakiwał, chciał rozbić gliniany koszyczek. Franciszek odepchnął go.

— Odważ się.

Duże, piwne, prawie kobiece oczy Fyrnysa przestraszyły się.

— Czego chcesz? Przecież trzeba tynkować.

— To zmiataj do tamtej izby. Mam pół ściany gotowe.

Fyrnys był starszy o kilka lat. Pozbierał narzędzia i z wyższością powiedział.

— Naucz się raz po ludzku wystawiać, chacharze!

I przeornie uskoczył z pokoju. Ptaki krążyły przełazone. Franciszek usiadł w oknie i myślał. Słyszał jak Fyrnys tynkuje jego dawną ścianę i w złości mamrocze. Sprawę jaskółek można było tylko rozwiązać przeprowadzką. Wyjrzał oknem. Turyści nie było. Przez rynek jechały samochody. Tłum ludzi pełznął chodnikami od Odry i w stronę dworca. Parapet nagrzewało słońce. Murarz przechylił się i zajrzał pod gzyms. Zbiegł na dwór. Przystawił do muru drabinę. Zawiesił na niej kubeł z zaprawą. Wkrótce metr kwadratowy czerwonej cegły pokryła warstwa tynku. Robotnicy patrzyli zdziwieni.

— Kto ci kazał tynkować na zewnątrz?

Odpowiadał wszystkim jednakowo.

— Zapytajcie Fyrnysa. On wie najlepiej.

Delikatnie odciął nożem gniazdko od cegły. Przyłożył czapką by jajeczka nie powypadały. Ptaki niepokoiły się coraz bardziej. Trzepotały skrzydełkami wokół głowy murarza, piskzały przerażone. Franek rzucił trochę gipsu na świeży mur i przykleił gniazdo w nowym miejscu. Jaskółki zostały bohaterkami dnia.

Majstra Sebastiana Grzonki nie było na budowie. Załatwiał sprawy w kierownictwie przedsiębiorstwa. W południe majster biegł do pokoju Franciszka. Murarz bał mu się spojrzeć w oczy. Grzonka kręcił głową.

— Kiepsko u ciebie z robotą. Fyrnys jest już na drugiej ścianie. Franciszek zamasyżuje rozciął rajberką. Rzucił hardo.

— Do fajrantu przegonę Fyrnysa.

Majster Sebastian uśmiechał się.

— No to goń, jak masz tela sił.

Franka ścięło, gdy usłyszał od drzwi.

— Truda płacze, a ty nawet nie zapytasz o dziłchę.

Spojrzał ukosem: ta świnia Fyrnys ma szczęście. Ale majster mówił do niego.

— Jeżeli już gorzółki nie ciagniesz, to zajdź kiedy na obiad.

Sebastian Grzonka zatrzymał się przy również zdziwionym Fyrnysie. Wrzasnął.

— Nie ciepaj tyle wapna na raz, bo się fajdasz zbyt!

Wieczorem poszedł Franciszek na ulicę Ozimską. Przechadzał się pod oknami majstra Sebastiana, ale

do środka nie wchodził. Gwizdał melodię, którą wywoływał Trudę w pierwszych dniach miłości. Minęła godzina. Wrócił na rynek rozgoryczony. Przez zachodzące słońce frunęła jaskółka. Murarz poznał samczyka. Ptak nioś w dziobie żółtą gąsieniczkę. Pozdrowił jaskółkę i ruszył na Pasiekę. Gryzła go tęsknota. W spółdzielni kupił pół litra czystej. Ręce trzymał w kieszeniach niebieskiego kombinezonu i w zadumie kopał leżące na jezdni ziarenka czarnego żwiru. Po bulwarze nad Odrą spacerowali zakochani.

Powietrze wiosenne było ciężkie, chociaż rzeźwiące. Daleko naszczekiwały psy. Franciszek przypomniał sobie kundla z wysepki. Podszedł do uwiązanych przy brzegu łódek.

Nagle poczuł chłodne palce Trudy na oczach. Odwrócił się uradowany i zaniósł dziewczynę do łodzi.

Dopiero na rzece zapytał.

— Co to wszystko znaczy?

Odpowiedziała z kokieteryą.

— No cóż. Zostałam twoją narzeczoną.

— Mów jaśniej.

— Uprosiłam ojca: powiedziałam mu, jak z nami jest.

— I co jeszcze?

— Dałam słowo, że nie będziesz pił gorzółki.

Franek zamrugał oczami. Położył wiosła. Łódka płynęła z prądem. Ostrożnie wyjął z tylnej kieszeni butelkę i spuścił ją szyjką do wody. Truda pytała podejrzliwie.

— Co tam robisz?

— E, nic.

Nie patrzył na nią. Powrócił do przerwanej rozmowy.

— A Fyrnys?

Zaśmiała się.

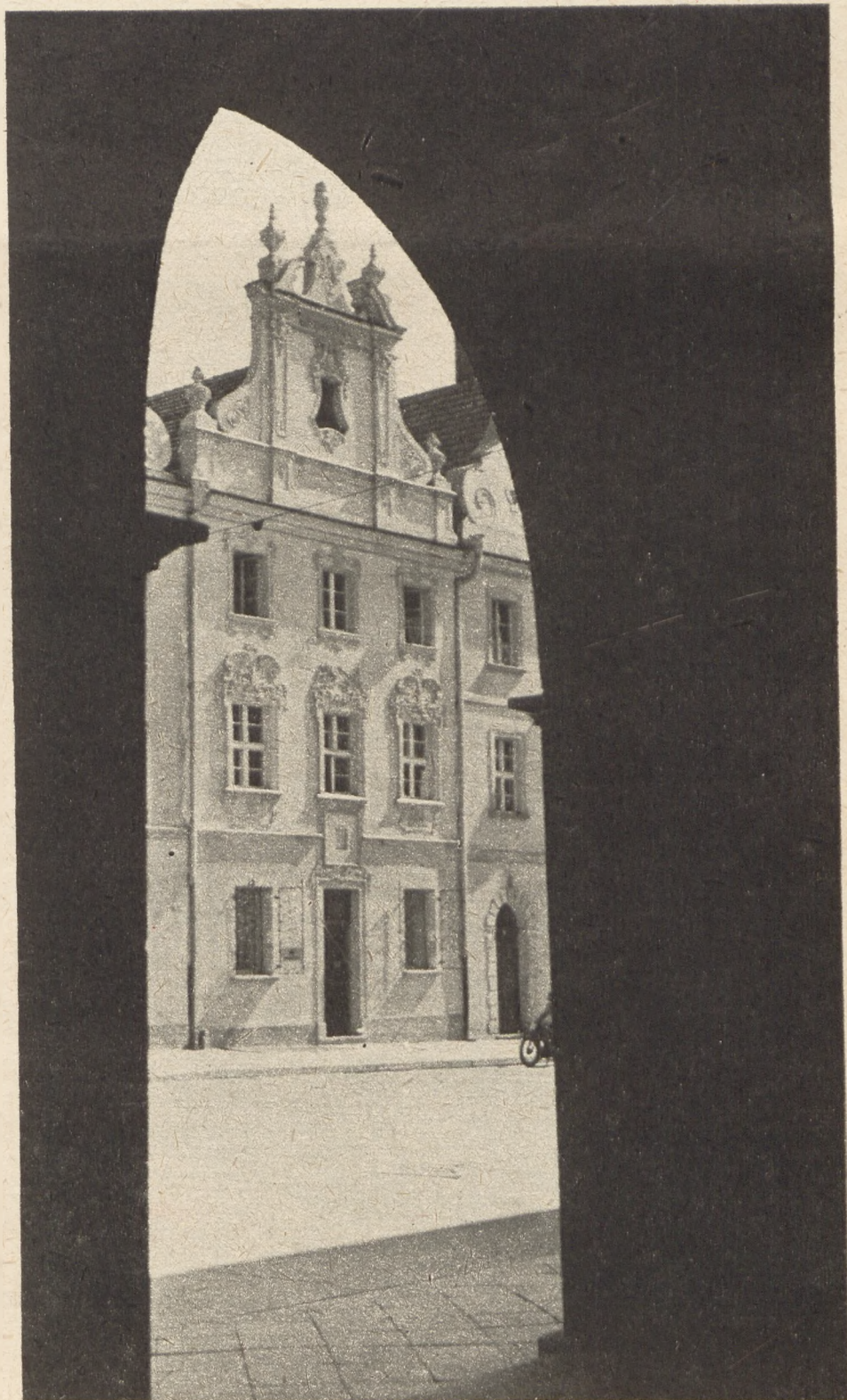
— Ojciec ma już dość Fyrnysa.

— Bo co?

— Wiesz, co powiedział? Kto nie ma serca dla ptaka, ten dziecka ani kobiety też nie uszanuje.

Truda ukucnęła na wilgotnym dnie łódki. Oparła łokcie o kolana murarza. Dokończyła poważnie, jakby bała się i wstydziła.

— Kiedy zacząłeś ze mną chodzić, zapomniałam ci powiedzieć, że ojciec kocha ptaki. Hoduje gołębie, a w ogródku na drzewach ma cztery domki dla szpaków.





May marzył o pokonaniu La Manche bez eskorty. Szalencza próba zakończyła się katastrofą. Na próżno jego żona i córka wypatrywały go na brzegu, a liczna rodzina zgromadzona przy aparacie radiowym z niepokojem czekała na wiadomości...



ZEMSTA

Kanału La Manche

HISTORIA ta zaczyna się bardzo prozaicznie. W kanadyjskim miasteczku Toronto, położonym nad jeziorem Ontario, otwarto lokalną wystawę. Impreza nie wzbudziła większego zainteresowania. Co zrobić, aby ją zareklamować?... Już wiem — powiedział dyrektor wystawy. Poświęcimy na ten cel 10.000 dolarów. Sprowadzimy z USA sławną pływaczkę Florencję Chadwick i powiemy jej, aby przepłynęła jezioro Ontario z Youngstown do Toronto. To nie byle jaki wyczyn, bo 50 km! Do Toronto ściągną tłumy, wystawa będzie uratowana.

Jak postanowiono, tak zrobiono. Nikt nie wątpił, że 33-letnia Amerykanka pokona bez trudu Ontario, gdyż już miała poza sobą takie wyczyny jak przepłynięcie kanału La Manche, sforsowanie Bosforu — sławnego z przeciwnych prądów. Na drugim brzegu

Ambitna Mavilyn Bell, 16-letnia uczennica szkoły średniej, przepłynęła jezioro Ontario mimo burzliwej pogody.



miał czekać na pływaczkę dyrektor wystawy z czekiem na sumę 10.000 dolarów.

Ale sprawa nieco się skomplikowała. Wiadomość o starcie Amerykanki szybko rozeszła się po Kanadzie. I... znalazła się szesnastoletnia dziewczyna, Mavilyn Bell z Toronto, która bez większego namysłu oświadczyła:

— Mój honor sportsmenki kanadyjskiej nie pozwala, aby Ontario zostało zwyciężone przez cudzoziemkę. Ja też spróbuję popłynąć, ale tylko dla sportu... Wcale nie chcę tego czekać...

Dziewczyna znalazła towarzyszkę, Winnie Roach, i we dwie zgłosiły się do współzawodnictwa z Florencją.

Pewnej pogodnej wrześniowej nocy 1954 r. o godz. 11, gdy Toronto spokojnie spało na przeciwległym brzegu — trzy pływaczki pogrążyły się w fale.

Dopiero nad ranem miasto ożyło. Radio bez przerwy nadawało komunikaty o tym, co dzieje się na jeziorze. A działało się na nim wiele. Po 25 kilometrach wyciągnięto z wody przemarzniętą, wyczerpaną do ostatka zawodową pływaczkę Florencję. Winnie Roach również musiała kapitulować. W wodzie pozostała tylko 16-letnia syrenka. Płynęła spokojnie i równo. Tysiące ludzi wyległo na brzeg jeziora. Wreszcie na horyzoncie dojrzano czarne punkciki. Marylin, otoczona przez dziesiątki łodzi, walczyła z ostatnimi kilometrami. Olbrzymi entuzjazm ogarnął tłumy, gdy młoda kobieta po 20 godzinach i 50 minutach dosięgła brzegu. Po raz pierwszy w historii pływactwa Ontario zostało pokonane.

Nie po raz pierwszy zresztą dziewczyna zdobyła sławę w walce z żywiołem. Bodaj że największy rozgłos osiągnęła Amerykanka Gertruda Ederle, która w 1926 r. pokonała jako pierwsza kobieta Kanał La Manche. A było to tak: 6 sierpnia o godzinie 7 rano Gertruda zaczęła pływać. Na łodzi asystował jej ojciec, siostra i dziennikarze.

Nadeszło południe, morze zaczęło fałować. Gertruda zdawała się być już bardzo zmęczona. Podano jej kawałek kury, wypita trochę bulionu. Siostra Małgorzata wskoczyła do wody, aby dodać jej otuchy, lecz tak przeziębła, że po kilkunastu minutach wyciągnięto ją z powrotem na łódkę.

Fala wzmacnia się. Gertruda traci coraz więcej sił. Ojciec, aby podtrzymać ją na duchu, odczytuje z łodzi sfingowaną depeszę od matki, ze słowami zachęty do walki z morzem. O godz. 6 wieczorem fale stają się groźne. Woda zmyła już całkowicie z ciała warstwę ochronną tłuszczu. Gertruda kosztuje z zimna. Ojciec błaga ją, aby zrezygnowała. Lecz pływaczka jest uparta i prosi, aby ojciec puścił płytę gramofonową z jej ulubioną melodią.

— Proszę o Valencję...

Skoczne tony popularnej melodii mieszają się z szumem fal. Wody Kanału stają się coraz złośliwsze. Gertruda, zamiast przybliżyć się do brzegu, stale się oddala. Znosi ją prąd. Wreszcie, po straszliwej walce — na horyzoncie widać już łódź. Gertruda nie chce na niego patrzeć. Płynie niemal na ślepo.

Ostatni wysiłek i zwycięstwo po 14 godzinach 30 minutach. A w jakiś czas później nastąpił triumfalny wjazd do Nowego Jorku, 2 miliony ludzi na czele z burmistrzem miasta wyległy na powitanie pływaczki. Gertruda stała się najslawniejszą kobietą w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy byłam dzieckiem zawsze marzyłam o sławie — mówiła Ederle.

Po jakimś czasie Gertruda nieco zmieniła zdanie:

— Sława to wyczerpująca rzecz — skarżyła się. Niedługo się nią cieszyła. Pierwsze przeloty przez Atlantyk usunęły jej wyczyn w cień.

O Gertrudzie szybko zapomniano. Jej kapitał prędko topniał. A trzeba było żyć. Film zawiódł, bo Ederle nie była ładną dziewczyną. Decyduje się na wy-

stępy w kabaretach. Jeździ po całych Stanach i pływa na scenie... w sztucznie skonstruowanych basenach. Ale występy „chwytają“ coraz słabiej. Trzeba jakoś ratować sławę, ratować po amerykańsku. Jej impresario finguje katastrofę łodzi, Gertruda ratuje rzeźbionych topielców. Innym razem kazał jej prowadzić samochód z nadmierną szybkością. Policja zatrzymuje Gertrudę. Liczono na sensacyjną sprawę, lecz sędzia umarza dochodzenie, mówiąc:

— Czy można karać pogromczynię Kanału La Manche...

W roku 1933 Gertruda głuchnie. Lekarze twierdzą, że jest to zemsta Kanału... Są to skutki zbyt częstego przebywania w wodzie. Spotyka ją jeszcze większe nieszczęście. Spada ze schodów i nadwyręga kręgosłup. Przez wiele miesięcy męczy się straszliwie w pancerzu gipsowym. Świat przestaje interesować się Ederle.

...W tym roku pływak angielski Ted May postanowił przepłynąć sam jeden bez żadnej eskorty Kanał La Manche z Cap Gris Nez do Dovru. Takiego wyczynu nie dokonał dotychczas żaden pływak na świecie.

— Jeśli tego dokonam, zdobędę sławę i fortunę — tak niewątpliwie sądził.

Skonstruował małą tratwę, którą ciągnął za sobą, a na niej umieścił pożywienie i kompas. Pogrążył się w fale. W tajemnicy — nie wolno bowiem płynąć przez Kanał samotnie... Po kilku kilometrach policja wyłowiła go z wody. Lecz 41-letni Ted był uparty. Pewnej ciemnej nocy znów wyruszył na morze. Od tej pory nikt już go więcej nie widział. Zaginął, a morze nie zwróciło swej ofiary. Ten 41-letni pływak pozostawił żonę i dziewięcioro dzieci. Na próżno pani May z córką wyczekiwała całymi godzinami na brzegu. Sława, zdobywana dla pieniędzy — bywa okrutna...

Opracował K. Gryżewski

O tesciowej Mickiewicza i tesciowych muzyki



Teściowa Mickiewicza

JERZY WALDORFF

CORAZ mnie pyta któryś z muzyków: „Dlaczego pan nie pisze o działalności Polskiego Wydawnictwa Muzycznego?” — na co odpowiadam: „Bo nie mogę!” Nie mogę, gdyż jestem w położeniu poety, który chciał opisać z natury majowy deszcz. Skoro zaczęło kapać, wyszedłem w pole, ale wtedy lunęło tak, iż poeta kucnął jeno pod parasolem, szczęśliwy, że żyje. Z doznań poetyckich miał tylko jedno: że mokro. Jeszcze kilka lat temu Polskie Wydawnictwo Muzyczne rzucało rocznie na rynek taką ilość pozycji, że można było dostrzec ich napływ, wyłowić co ciekawsze i poddać spokojnej ocenie. Później rozpadło się to w ulwę. Już rok 1953 obiał 1406 tytułów, co znaczy — niemal 4 tytuły wydawnicze dziennie, a to znaczy w sumie — niemal 5.000.000 egzemplarzy! Teraz jest oczywiście jeszcze gorzej...

Nie tylko zresztą działalność PWM jest przykładem owej zacieklej furii, z którą dzisiejsze pokolenie chce odrobić w kilka lat zaległość lat kilkuset. I odrabia! Jak już pisałem w poprzednim felietonie, PWM od roku 1945 do 1954 wydało więcej nut i książek o muzyce, niż zostało wydanych w Polsce od roku 1900 do 1945.

Prócz znakomitej „Harmonii”, czy „Kontrapunktu” K. Sikorskiego, oprócz „Form muzycznych” J. Chomińskiego lub „Instrumentacji” M. Rimskiego-Korsakowa, znajdziemy pod firmą PWM pracę bibliograficzną pt. „Opery polskie” K. Michałowskiego, z której zdumiony laik dowie się, że utworów muzyki operowej powstało w Polsce 625! — PWM wydaje partytury symfoniczne, muzykę kameralną, ale równocześnie nie zapomina np. o „Srebrnej rybce” i „Muszelce” W. Lutosławskiego, żeby nasze dzieci miały co śpiewać. — Uwerturę „Bajka” Moniuszki możesz kupić pod trzema postaciami: jako partyturę koncertową — jeśliś dyrygentem, jako małą partyturkę — jeśliś melomanem i podczas koncertu chcesz ze swego krzesła śledzić dokładnie pracę orkiestry, wreszcie możesz dostać tę „Bajkę” w układzie fortepianowym na 4 ręce — jeżeli pragniesz pograć z narzeczoną (z żoną grywa się już na osobnych fortepianach!).

Radzo dawne utwory na lutnię i bardzo świeże na mandolinę, pieśń „Mazowsza” na chór i na... orkiestrę detę, utwory pedagogiczne dla wielu różnych instrumentów — wszystko to znajdziesz w księgarniach muzycznych, wydane przez PWM, jeśli szukać będziecie dla siebie lub dla kierowanego przez siebie zespołu, czy świetlicy.

Dawniej wydawano w Polsce nut niewiele, a bardzo wiele na nuty sprowadzane z zagranicy. Teraz cały ogrom potrzeb muzycznych w kraju przejęło i zaspokaja PWM.

KILKA PEREL

Jednak nie mogę!... — Nie mogę się oprzeć pokusie, aby kilku szczególnie cennych pozycji nie omówić z osobna.

Przy okazji roku poświęconego epoce Odrodzenia PWM wydało album pt. „Muzyka Polskiego Odrodzenia”. Na wspaniałym papierze, w układzie typograficznym przynoszącym zaszczyt krakowskiemu drukarzom — album zawiera obszernie studium o polskiej kulturze muzycznej tamtych czasów, a prócz tego wyjątki z najpiękniejszych renesansowych polskich utworów na organy, klawesyn, lutnię, zespoły instrumentalne i chór. Wszystko zaś przystrojone jest świetnymi reprodukcjami starych sztychów.

Drugi album PWM, to „Portret Chopina”. Zawiera 45 podobizn — jakby tu rzec... — autentycznych, lecz nie do końca żywego modelu. Kolekcję otwiera portret 19-letniego młodzieńca u progu sławy, a zamyka maska pośmiertna wielkiego kompozytora. To jest pasjonujące studium — porównywanie twarzy Chopina, widzianej przez kilkunastu malarzy i rzeźbiarzy i raz jeden przez obiektyw aparatu fotograficznego. I ten raz jeden Chopin nie jest podobny do żadnego ze swych pozostałych portretów!

Trzeci album PWM poświęcony został Marii Szymanowskiej, tesciowej Mickiewicza, która była pierwszym historycznie polskim pianistą-wirtuozem o europejskiej sławie. Była też słonna kompozytorka, m. in. muzyki do „Śpiewów historycznych” Niemcewicz, a dziś jest niesłusznie zapomniana. — Szkoda tylko, że autorzy albumu wyobrazili sobie, iż czytelnik będzie z preferencją przez osoby duchowne. Dlatego, na wszelki wypa-

dek, także Szymanowską przybrali w mniś habit. Tymczasem śliczna pani była jedną z wielkich miłośniczek swojej epoki! Kochał się w niej Goethe, i car Aleksander I, i wielu innych, znanych ludzi tamtych czasów. Włec szkoda... — Niemniej jednak i ten album jest ciekawy i bogaty.

Jeśli przeto będziesz miał imienniny przyjaciela, lub zechcesz posłać znajomym za granicę coś, co chlubnie świadczyłoby o kulturze naszego kraju, to kup któryś z trzech albumów PWM. A dla siebie?... — Kup ukazujące się kolejno monografie muzyczne PWM (wyszedł już: o Schubercie, Beethovenie i Mozarcie), które powinny znajdować się w bibliotece każdego melomana. Zafunduj też sobie Karola Kurpińskiego „Dziennik podróży” po arcyekawej muzyce Europy z lat 30-tych ubiegłego wieku.

DZIWNY WROBEL

Obok setek nut i książek, bezspornie wartościowych i potrzebnych, PWM wydało ogromny, kosztowny foliut, zawierający pracę F. Wrobła o partyturze. Nie jest to, jak wyznaje sam autor, podręcznik pisania partytur, lecz szereg oryginalnych, Wrobliwych propozycji, jak pisać partytury odmiennie niż dotychczas. Z zawartości foliutu wynika, że autor jest o sobie mniemania wcale wygórowanego! Wśród przykładów nutowych znajdujemy zestawienia takie: Wrobel — Beethoven — Schumann, Strawiński — Wrobel — Szymanowski, Wrobel — Puccini, Beethoven — Wrobel — Brahms. Całość pracy zamyka „wzorowa” partytura Wrobła, która — na tle dotychczasowej praktyki — nie tyle jest wzorem uproszczenia, ile daleko posuniętego skomplikowania.

Gdyby propozycje Wrobła zostały zatwierdzone przez światowy zjazd kapelmistrzów wówczas praca jego byłaby podstawą dla całej nowoczesnej dyrygentury. Chwilowo jest tylko nieco dziwaczna ciekawostką i na wydanie jej mógłby sobie pozwolić bogaty lord angielski, który nie wleździłaby, co robić z pieniędzmi. Nasza hierarchia potrzeb muzycznych rysuje się jednak bardzo ostro i tymczasem nie pozwala na wydawanie żadnych „kwiatków do kożucha”.

Równocześnie — i słusznie — PWM wydało partyturę II symfonii Szymanowskiego, dotychczas nie drukowanej, co utrudniało rozpowszechnianie tego wielkiego dzieła. Niesłusznie natomiast wydane zostały partytury kilku bardzo zresztą zdolnych młodych kompozytorów. Mogły być dyrygowane z materiałów Biblioteki rękopisów i fotokopii PWM, nim się o nich ustali opinia, że są utworami wartymi kosztownego druku.

NIESTETY — SKANDALE!

Znacznie gorzej przedstawia się spis pozycji, które PWM winno było drukować, a nie wydrukowało. Dopiero na koniec tego roku przewidziane jest wydanie „Krakowiaków i górali” Bogusławskiego, z muzyką Stefana — jedynej naszej znakomitej komedio-opery, o którą ubiegają się od kilku lat dziesiątki zespołów amatorskich, jako że jest ona tyle piękna, ile stosunkowo łatwa do wystawienia.

Dotychczas, po dziesięciu latach odrodzenia państwa, nie mamy żadnej polskiej encyklopedii muzycznej. Prywatne wydawnictwo „Encyklopedii muzyki” dr Reissa zostało na literze „K” wstrzymane, jako nieodpowiednie. Najprzystępniejszy, a zarazem najpełniejszy niemiecki „Leksykon muzyczny” Riemanna jest taką rzadkością na naszym rynku, że niżej podpisany zdobył go po roku poszukiwań, za... 1.000 (wyraźnie tysięcy) złotych.

Jeszcze większym skandalem wydawniczym jest brak jakiegokolwiek polskiej historii muzyki powszechnej. Jedyną przestarzałą, bo sprzed ćwierćwiecza, „Historię muzyki” dr Reissa można nabyć antykwarycznie za 300 zł. Jeśli się ją wytrępli...

Największym skandalem jest brak historii muzyki polskiej. Prywatne wydawnictwo „Historii muzyki polskiej” prof. Jachimieckiego zostało po dwóch tomach wstrzymane, jako nieodpowiednie.

Za te istotnie skandaliczne braki wydawnicze nie można winić PWM, które ostatecznie wydaje tylko to, co zostało napisane. Jeśli zaś autorzy nie chcą pisać lub się boją...

ZŁE TESCOWE

Tu czas wielki uderzyć w muzykologów. Trzęsą naszym życiem muzycznym, potrzaskajmy raz nimi!

Druk „Historii muzyki polskiej” Jachimieckiego został wstrzymany właśnie przez nich. Tymczasem w Związku Radzieckim ukazała się „Historia muzyki polskiej” Igora Bełzy, który gęsto powołuje się na... Jachimieckiego. W czasopiśmie „Muzyka Sowiecka” książka Bełzy została ostro skrytykowana, ale na zakończenie stwierdzono, że dobrze, iż wyszła. Bo lepszy taki zbiór wiadomości, niż nic — a w drugim wydaniu będzie można książkę poprawić. Nasze drogie panie z muzykologii myślą inaczej: lepiej nic, niż narazić się na krytykę.

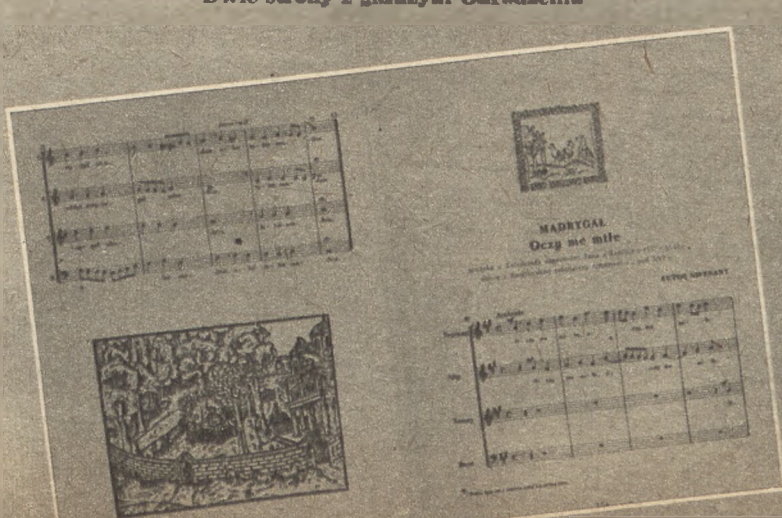
Nieprawda! Na polską encyklopedię muzyczną, historię muzyki powszechnej i polskiej — czekają daremnie coraz szersze rzesze naszego społeczeństwa z takim zapalem gągnącego się do muzyki. Jedną tylko redakcją „SWIATA” otrzymuje dziesiątki niecierpliwych listów z zapytaniami w tej materii! Owych mnożących się tysięcy nowych odbiorców muzyki nie wolno odprawiać z kwitkiem dlatego, że kilkoro wpływowych pań i panów woli się nie narażać.

„APPASSIONATO E FURIOSO”

A więc, proszę państwa? — Trzeba natychmiast wydać „Historię muzyki polskiej” Jachimieckiego i „Encyklopedię” Reissa oraz wznowić starą „Historię muzyki powszechnej” Reissa, pozostawiając w nich choćby tylko sam materiał faktyczno-informacyjny. Przeciwno usterkom można się dodatkowo zastrzec w przedmowach. A później dopiero przygotować nowe podręczniki, które odpowiadałyby pod każdym względem dzisiejszym naszym metodom naukowym i obecnemu stanowi wiedzy o przedmiocie. Oczywiście też nie leniąc się i nie bojąc!

Jak bowiem lenić — wstrzymywanie się od działania nie chroni przed krytyką.

Dwie strony z „Muzyki Odrodzenia”



W 1953 r. Kathleen Mayoh wyruszyła na podbój Kanału La Manche. Po 16 godzinach udało się jej dopiąć celu.

WAZON KOLORU „POŚWIATY KSIĘŻYCA”...



PISMEM KU WEN, które jest najdawniejsze, trzeba by opisać misterne porcelanowe cacka... Znakami Chui yun chuan, które podobne są do chmur, można by wyrazić najlepiej lekkość i wdzięk nefrytowych rzeźb... Znakami Niao tse chuan, które przypominają ślady stóp ptasich, chciałoby się ukazać pajęczę ściegi przepięknych haftów, podobnymi do drogich kamieni znakami Yu chon chaun zobrażować urok srebrnych plecionek i inkrustacji z masy perłowej.

Wybacz poetę chiński Ten Se-shuen tę samowolną przeróbkę twojego poematu, ale gdy patrzymy na ekspozycję wystawy — nasz język wydaje się za ubogi. Nie ma tu bowiem rzeczy przeciętnej, nie ma nawet rzeczy ładnych; gradacje trzeba zaczynać od słów — piękne, urocze, śliczne.

Każda gabiolka, każdy przedmiot na wystawie chińskiego rzemiosła artystycznego urzeka kształtem, ornamentem, kolorem. W sali porcelany mieni się gamą barw. Na lewo wysmukłe wazony koloru „poświaty księżyca”, dalej „błękitne jak niebo po deszczu” miski i dzbany, seledynowe jak „zielen niedojrzałego grochu” wazy i talerze. Na prawo barwna, zdobiona różnymi farbami porcelana. Z białego, brunatnego czy czarnego tła wykwitają fantastyczne kwiaty, bajecznie kolorowe ptaki, misternie wykonane sceny rodzajowe.

Głęboką czernią to znów cegląstą czerwienią lśnią wyroby z laki. Już 300 lat przed naszą erą odkryto w Chinach właściwości żywicy z drzewa lakowego, zaczęto ją używać do wyrobu ozdobnych mebli, naczyń i drobiazgów. Przez wieki udoskonalono produkcję. Powstały laki czerwone rzeźbione, laki na rdzeniu, laki na tiulu. Jedna piękniejsza od drugiej, a każda lekka i lśniąca.

Do gabiotek z wyrobami srebrnymi nie można się wprost docisnąć. Trudno spokojnie patrzeć na kunsztowne, niesłychanie precyzyjne cacka. Z cieniutkich, wprost pajęczych srebrnych nitki mistrzynie splecione przybory do palenia, koszyczki, paski i bransoletki.

A plecionki! Tu zadziwla nie tylko wykonanie, ale i sam materiał. Koszyczki z barwionej trawy i gałązek drzew, kapelusze, pudełka, klatki wykonane z bambusa.

Wśród plecionek leży piękny, jasny wachlarz. Czy znalazł się tu przez pomyłkę? Na matowym tle cieniutkiej i delikatnej materii rysuje się dyskretny, lśniący kwiat chryzantemy. A jednak ten oryginalny materiał — to również plecionka. Sztukę preparowania włókien bambusowych i tkania z nich wzorzystych materiałów zna w Chinach tylko jeden człowiek, stary artysta ludowy Kung Jü-czang. Teraz będzie miał już następców. Rząd Ludowy przysłał mu uczniów, aby nie zaginęła stara piękna sztuka.

Nigdzie nie ma takich haftów jak w Chinach. Krzyżki, ściegi atlasowy, skomplikowane mereżki... Wszystko tak precyzyjne, że aby rozpoznać poszczególne ściegi, trzeba sięgać po szkło powiększające. A już prawdziwym kunsztem sztuki hafciarskiej jest barwny portret Lenina. Patrząc z daleka, można sądzić, że to obraz olejny. Dopiero zupełnie blisko widać drobnutkie, mistrzynie ściegi.

Wystawa Rzemiosła Artystycznego Chińskiej Republiki Ludowej zadziwla swym pięknem i artyzmem, ukazuje nam rozkwit starej sztuki ludowej w nowych warunkach społecznych. Cieszą nas kunsztowne dzieła naszych chińskich przyjaciół, cieszą, ale zarazem wzbudzają zazdrość. A może ta piękna wystawa pomoże naszym artystom, może CPLIA lepiej i śміeliej sięgnie do niektórych mało dotąd wykorzystywanych form naszej sztuki ludowej?

(Olb.)

Zdjęcia: J. SCHIFF



UDAREMNIONY ZAMACH

CZŁOWIEK, który zagraża bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, nazywa się Maciej Sergialis i mieszka w Elku (woj. białostockie, Polska). Akcja tego człowieka, rozpoczęta jeszcze w roku ubiegłym, a zmierzająca do obalenia ustroju Stanów, została dopiero we wrześniu roku bieżącego sparaliżowana wspólnym wysiłkiem komory celnej w Now Yorku i inspektora poczty w Waszyngtonie.

A oto szczegóły owej dramatycznej sprawy.

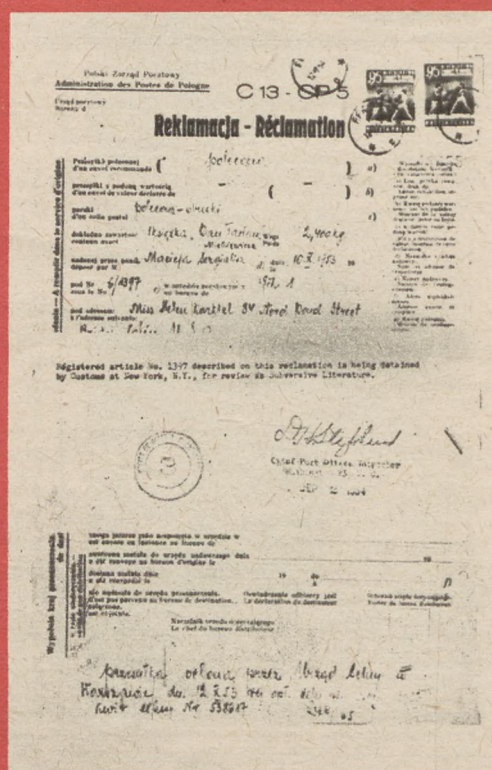
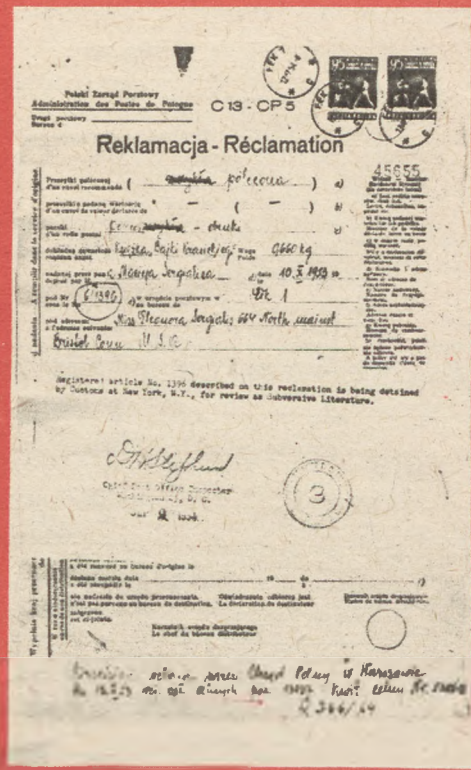
Ów Maciej Sergialis, realizując swe wywrotowe zamiary, usiłował 10 października 1953 r. wystać do Bristolu (stan Connecticut, USA) dwie książki o treści wyraźnie propagandowej i antyamerykańskiej. Tytuły tych książek — „Pan Tadeusz” i „Bajki” — mówią nam niewiele, ale za to osoby autorów w sposób niewątpliwy wskazują na wywrotowy charakter ich dzieł.

Autor pierwszej z nich, niejaki Adam Mickiewicz, już w młodości wykazał się jako agitator komunistyczny („Hej, ramię do ramienia! Wspólnymi łańcuchami...”). Później kontaktował się ze znanym działaczem bolszewickim, Aleksandrem Puszkynem, napisał szereg dłuższych czas działających o Sowietach (Sonety Krymskie itd.). Przez dłuższy czas działał jako agent kominternu w Europie zachodniej. Gdzie przebywa obecnie — nie wiadomo, ale podobno FBI już jest na jego tropie.

Drugi autor, Ignacy Krasicki, jest działaczem znacznie niebezpieczniejszym. Na zlecenie Moskwy przywdział on szaty kapitańskie i doszedł nawet do biskupich fioletołów. Posiada znajomości wśród najbardziej arystokratycznych sfer Europy i wykorzystuje je umiejętnie dla swej dywersyjnej działalności. Napisał szereg złośliwych pamfletów na temat polityki Departamentu Stanu („Wilki pokutujący”, „Ptaki i osioł”, „Dewotka”, „Owileczka i pasterz”, „Lew pokorny”). Miarą zdolności konspiracyjnych Krasickiego może być fakt, że nawet sekretariat Watykanu nie potrafił udzielić żadnych informacji na temat aktualnego miejsca jego pobytu.

Książki wymienionych autorów (oble dla niepoznaki ozdobione niewinnymi rycinami), wagi 2,400 i 0,660 kg. przybyły pocztą na terytorium USA w końcu października 1953 roku. Agenci komunistyczni tryumfowali już — przedwcześnie jednak! Czujność amerykańskich pracowników celnych i pocztowych pokrzyżowała ich plany. Obie książki zostały zatrzymane na komorze celnej i jest pewne, że do Bristolu (stan Connecticut, USA) nie dotrą. Obywatele Stanów Zjednoczonych mogą dalej spokojnie robić swój byznes, brać udział w próbnych alarmach atomowych i czytać comicsy.

Tak oto perfidny zamach na bezpieczeństwo Stanów został w porę udaremniony. Kto ma tu jakiegokolwiek wątpliwości, niech rzuci okiem na reprodukowane obok dokumenty, udostępnione redakcji przez naszą pocztę (Subversive Literature — znaczy: literatura wywrotowa).



POETKA LUDU

Z RADOŚCIĄ powitali czytelnicy fakt pojawiania się jednotomowych, dużych, ozdobnych wyborów dzieł klasyków naszych i obcych. Z nieco dawniejszych wydań: Korolenko, Gogol i Orkan; z ostatnich zaś: Konopnicka i Zola.

Właśnie Konopnickiej — „najznakomitszej z polskich poetek, gorącej orędowniczej sprawy ludowej” (jak ją nazywa we wstępie St. Ryszard Dobrowolski), pragniemy poświęcić kolejną część Konopnickiej jest odzwierciedleniem kolejnych etapów jej własnego życia. Najpiękniejsze ma chyba dzieciństwo (ur. w r. 1842). Ojciec, człowiek o dużej kulturze literackiej, w tajemniczą młodzieńką Marię w uroki baśni, uwarścił na piękno poezji, rozbudza zamiętanie do lektury samodzielnej. Niestety jednak, z atmosfery rodzinnego domu przenosi się poetka do dworku swego męża, Jarosława Konopnickiego. Tryb życia, jaki tutaj zastaje, jest jej jak najbardziej daleki i obcy. Huczne bale, kuligi, polowania, związane z nimi kłopoty i troski finansowe — oto sfera zainteresowań właściciela majątku. Przed załamaniem, przynębieniem ratuje Konopnicką ucieczka w świat książek. Wspomina w liście do Elżby Orzeszkowej o głębokiej radości, jaką jej daje lektura. Wymienia nawet nazwiska i tytuły. Są to w dużej mierze dzieła naszych i obcych pozytywistów. Wpływ tej ideologii na ukształtowanie poglądów Konopnickiej jest znaczny i nie ogranicza się tylko do lat pobytu w dworku męża. Trzeba od razu jednak powiedzieć, że Konopnicka nie zatrzyma się na pozycjach liberalizmu mieszczańskiego właściwych pozytywizmowi, lecz stanie w sposób zdecydowany po stronie ludu.

Coraz gorsze życie z mężem zmusza uczciwą i wrażliwą poetkę do czynu — jak na owe czasy — niesłychanie odważnego. Opuszcza dwór Jarosława Konopnickiego i przybywa z sześciorgiem małych dzieci do Warszawy. Śmierć ojca pozostawia ją w sytuacji — zdawałoby się — beznadziejnej. Ale Konopnicka, której teraz przyszło żyć nie w niedostatku, lecz po prostu w nędzy, nie załamuje się — lecz przeciwnie — zdobywa na heroiczny wysiłek. Pomyślmy tylko: sama wychowuje swą liczną gromadkę, sama prowadzi niełatwe w takich warunkach gospodarstwo, zarabia na utrzymanie jako zwykła nauczycielka domowa i przy tym nawale zajęć i trosk znajduje jeszcze czas na rozległą lekturę i pogłębianie wiedzy. Jeśli czytamy buntownicze strofy jej wierszy, jeśli czujemy w nich nieklamną miłość i współczucie dla ludu — to ich źródłem dopatrzeć się możemy także we własnym doświadczeniu życiowym Konopnickiej. Mogąc porównać próżniactwo na pół zbankrutowanej szlachty i twarde życie prawdziwych bohaterów swojej poezji — „wolnych najmitów”, dochodzi do zdecydowanego wniosku, że:

Temu tylko plóg a socha
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna — do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi,
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — tży i ból.

Spora grupa utworów Konopnickiej wyrosła wprost z gleby pojęć i wyobrażeń wsi. Najwłaściwszym przykładem będzie tu „A jak poszedł król na wojnę” — wiersz, który stał się własnością powszechną, wiersz, który niejednokrotnie zatracił nazwisko twórcy. W innych utworach także spotykamy strofy jakby wyjęte wprost z mazowieckiej śpiwanki:

Oj, szumi pole, szumi
Aż głos idzie wokoło...
A któż tam wyrozumie
Czy smutno — czy wesoło...

Poza twórczością poetycką — wspomnieć też trzeba o publicystyce Konopnickiej. Olbrzymi rozmach w tej dziedzinie następuje w okresie redagowania przez pisarkę „Świata” — pisma dla kobiet. Osobny rozdział jej wybitnych osiągnięć stanowi twórczość nowelistyczna. Pełne prostoty, a jednocześnie siły dramatycznej, obrazki o zwartej konstrukcji — wrosły na stałe do bibliotek szkolnych, jako pozycje poszukiwane i czytane.

Wydany ostatnio w pięknej szacie graficznej „Wybór pism” Marii Konopnickiej, w opracowaniu St. R. Dobrowolskiego*, pozwala na zapoznanie się z najwybitniejszymi utworami pisarki z dziedziny poezji, prozy i publicystyki, pozwala uchwycić niemal w pełnych wymiarach jej cały, bardzo pokazywalny dorobek pisarski.

r. w.

* Maria Konopnicka: Wybór pism. Książka i Wiedza 1954 s. XXII + 481

Na skalistych wysepkach, tuż u wybrzeży Taiwanu, rozlokowane są liczne obozy koncentracyjne, w których krwawy dyktator Czang Kai-szek więzi swych przeciwników politycznych. Ogólna liczba ofiar zamkniętych w tych katowniach jest otoczona ścisłą tajemnicą. Zdjęcie — zaczerpnięte przez nas z zachodniemieckiego tygodnika „Frankfurter Illustrierte” (nr 40 z 2 października 1954 r.) — przedstawia jeden z takich obozów, w którym znajduje się ponad 1500 więźniów. Komendantem wszystkich obozów jest syn dyktatora, gen. Czang Czing-kuo. Ten taiwański Himmler stosuje w swych kaźniach najokrutniejsze tortury fizyczne i psychiczne, jako środek „nawracania” przeciwników politycznych Czang Kai-szeka. Wyniki metod „wychowawczych” muszą być jednak bardzo mizerne, skoro liczba „nawróconych” i zwolnionych więźniów jest wręcz znikoma.

Taiwańskie Oświęcimy i Majdanki są jednak dzie-



łem nie tylko Czang Kai-szeka. Odpowiedzialność za nie spada na władców

USA, bez których poparcia i opieki reżim Czang Kai-szeka na zrabowa-

nej Chinom wyspie nie utrzymałby się nawet przez 24 godziny.

ALIGATOR, SŁOŃ I MASKARADA, CZYLI WYBORY W USA

Dnia 2 listopada odbędą się w Stanach Zjednoczonych wybory do Kongresu. Cyrk przedwyborczy jest już w pełni. Oto kilka epizodów z tego, co amerykańska prasa nazywa „kampanią wyborczą”.



Gubernator stanu Kentucky, Lawrence Wetherby, pragnąc zjednać wyborców dla swej partii, stacza walkę z aligatorem. Ale szanse nie są równe, albowiem aligator ma zawiązany... pysk. To prawdziwy ideał amerykańskiej wolności: kneblować przeciwników...



Gubernator Chriss Herter w stanie Massachusetts występuje w roli dyrygenta orkiestry. Nie dajcie się złudzić mundurami gwardzystów brytyjskich. To przecież tylko maskarada. Tak zresztą, jak i cała kampania wyborcza USA...

PO RÓWNI POCHYLEJ

Agencja „United Press” donosi z Waszyngtonu, że przewodniczący federalnego komitetu oświaty, Samuel M. Brownell, stwierdził, iż w USA daje się odczuć dotkliwy brak nauczycieli. Obecnie brakuje w Stanach Zjednoczonych 120 tysięcy nauczycieli oraz 370 tysięcy izb szkol-

nich. „Jeśli dalej tak pójdzie — stwierdził minister — w roku 1960 brak będzie 292 tysięcy nauczycieli.”

A najmniej będzie się z tego powodu martwić zapewne senator McCarthy, Mniej będzie kłopotów z ciągłym badaniem ich lojalności.



Senator Karl Mundt, czołowy działacz Partii Republikańskiej, paradytuje na słoniu w swym ojczystym stanie Południowej Dakoty. Jest przekonany, że skoro udało mu się ujeździć słonia, potrafi tego samego dokonać z wyborcami. Ale i tu gra nie jest uczciwa, albowiem słoń jest tresowany i — na wszelki wypadek — ma spiłowane kły, a wyborcy, mimo wszelkie usiłowania propagandy amerykańskiej, czasami wyłamują się spod tresury — i pokazują kły...

U.S. Short of Teachers

WASHINGTON, Sept. 16 (U.P.) — Samuel M. Brownell, United States Commissioner of Education, said yesterday the nation will be short of 292,000 teachers by 1960 if present trends continue. “Testifying before a House Education Committee, Mr. Brownell said the country already lacks 120,000 teachers and 370,000 classrooms. “At present,” he said, “we are losing more elementary teachers than are entering teaching.”



SPOSTRZĘGŁA, że nie spostrzegła. Czyli że nie ma tego, co być powinno. Gdzie? Oczywiście w Warszawie. I dodajmy od razu, że Warszawa jest tu wśród innych naszych miast raczej niechłubnym wyjątkiem.

— Zły to ptak, co własne gniazdo kala?

Nie przyjmuję do wiadomości. Na szczęście jestem „coś z ryb”, a poza tym, jeżeli „kalam”, to po to jedynie, aby w przyszłości nie było już potrzeby żalić się na temu podobne zatrważające życie drobiazgi. Zobaczmy zresztą, co nalogowi „obrońcy”, wszystkiego co warszawskie powiedzą przy końcu niniejszego.

Zdarzyło się komuś z Was spieszyć na dworzec o godzinie powiedzmy 23? I to z Grochowa, z Żoliborza lub z dalekiego Mokotowa? Zdarzyło się. No to w porządku.

Zdarzyło się, żeście pół godziny czekali na „postojni dorożek samochodowych” i ani śladu takiej w polu widzenia nie stwierdziliście? Zdarzyło się. No to w porządku.

Może i tak się zdarzyło, żeście przy tym mieli bagaż, który przykuwał Was do miejsca i nie pozwalał na energiczniejsze poszukiwania? I to się zdarzyło. Tak właśnie przypuszczałam.

Włec na pewno zdarzyło się, że Was diabli brali, niecierpliwość trzęsła i że w

końcu spóźniliście się na pociąg? Zdarzyło się.

Włec jeszcze ostatnie pytanie. Czy się zdarzyło, że Wam się to wszystko zdarzało także o innej porze dnia czy nocy? Ojej, jeszcze nie razy!

No to w porządku.

Otoż chcę Wam powiedzieć, że mieszkam w Gdyni, Poznaniu, Szczecinie, Stalino, a nawet w Warszawie, nic podobnego przytrafić się nie może.

Dlaczego?

Bo zarówno w tych, jak i w kilku innych jeszcze większych i mniejszych miastach polskich, spieszący na dworzec (czy zresztą niekoniecznie na dworzec) obywatel może zatelefonować po taksówkę bezpośrednio przed wyjazdem, albo zamówić ją uprzednio na określoną godzinę. Na głównych postojach zaistalowane są po prostu telefony i w ten sposób kierowca taksówki, która akurat znajduje się na postoju, przyjmuje zamówienie.

To praktykowane od dawna w innych miastach usprawnienie wydaje się tak proste, zrozumiałe i łatwe do przeprowadzenia, że trudno pojąć, dlaczego go dotychczas nie zastosowano w Warszawie. W Warszawie, gdzie od dłuższego już czasu istnieje Miejskie Przedsiębiorstwo Taksówkowe, najbardziej chyba predysponowane do tego rodzaju usług.

W imieniu wszystkich warszawianek i warszawiaków

a) wcale nie spieszących się

b) mieszkających „na drugim końcu miasta”

c) zaskoczonych nagłą potrzebą (tylko bez ironicznych uśmiechów, proszę)

d) często wyjeżdżających

e) i tak dalej

Syrenka wyraża nadzieję, że wyż. wzmiankowane przedsiębiorstwo, w myśl przysłowia: „Mądrej głowie dość dwie słowie”, co prędzej poda do wiadomości szerokiego ogółu numery telefonów, które ułatwią ludziom życie.

I to jak małym kosztem! Bez dodatkowego personelu, bez nowych etatów i z „lokałem” na świeżym powietrzu!



ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF

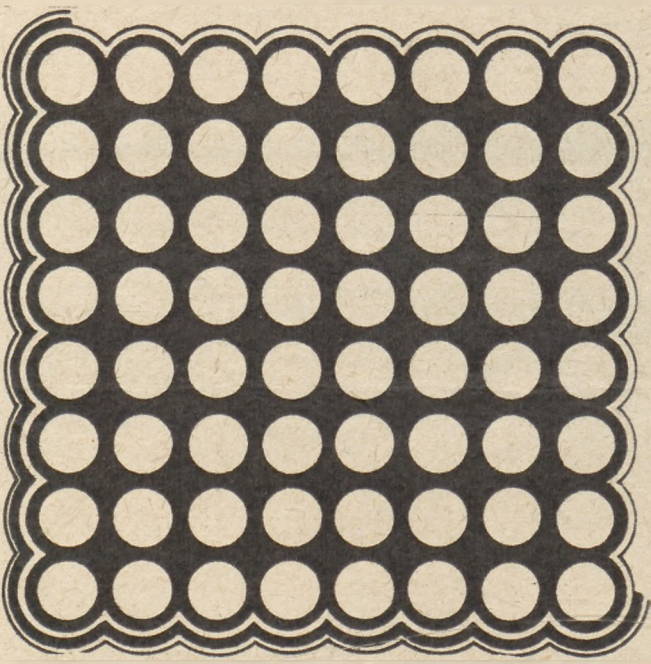
Do podanej figury wpisać 8 wyrazów ośmioliterowych o poniższych znaczeniach. Pierwsze litery tych wyrazów czytane kolejno, a następnie ostatnie ich litery dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Część aparatu fotograficznego, 2) Wymiana zdań, 3) Ostatni król babiloński, 4) Po iacinie: jednoznaczny, jedno-głośny, 5) Przyrząd do oznaczania odległości, 6) Zabieg chirurgiczny, 7) Miejscowość

w pobliżu Białegostoku nad rzeką Supraśl, 8) Krótkie dowcipne opowiadania.

(„Maya” — Zabrze)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązanie, rozlosowane zostaną nagrody książkowe.



SZACHY

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 160

Logogryf: Tygodnik Ilustrowany „Świat” (szygar, tygodnik, wodniak, unikaty, anilina, bluszcz, futryna, słownik, klangor, umysłiny, powieść, platyna). W znaczeniu drugiego wyrazu omyłkowo opuszczono dopisek: bez ostatniej litery.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 160 nagrody książkowe otrzymują:

J. Freudenheim — Bochnia, S. Kamiński, D. Sochacka —

Bytom, W. Proniewski — Falenica, W. Gója — Jaworzno, A. Sowińska — Kraków, J. Klaus — Lublin, W. Pollak — Oświęcim, J. Bereźnicki, J. Szmeterling — Poznań, H. Kwiek — Sochaczew, M. Hopper — Szczawno-Zdrój, I. Kasperczyk — Toruń, K. Abramczuk, P. Jaros, M. Raczkielwicz, J. Semilski, B. Zołotarew — Warszawa, A. Rudziński — Włocławek, W. Międzychowski — Wrocław.

PARTIA NR 127
grana podczas XI Olimpiady szachowej w Amsterdamie

Partia angielska

Białe: Bebekow (Bułgaria)
Czarne: Keres (ZSRR)

1. Sg1—f3 Sg8—f6 2. c2—c4 c7—c5 3. d2—d4 c5:d4 4. Sf3:d4 e7—e6 5. e2—e3

Białe mało aktywnie rozgrywają debiut; w podobnych pozycjach dobrze jest rozwijać królewskiego gońca na g2. Posunięcie w tekście ma jeszcze tę wadę, że zamyka drogę gońcowi ci.

5... Sb8—c6 6. Gf1—e2 d7—d5 7. c4:d5 e6:d5 8. Sb1—c3 Gf8—d6

Czarne mają co prawda izolowanego piona, ale za to świetnie rozwinęły swoje figury. Ponieważ nie ma wiodków na atak na piona d5 (np. 9. Gf3 Se5 10. S:d5 S:d5 11. G:d5 Gb4+ itd.) białe zdecydowały się zabić na c6, aby tam stworzyć słabość.

9. Sd4:c6 b7:c6 10. 0—0 0—0 11. b2—b3 Hd8—e7 12. Gc1—b2 He7—e5

W ten prosty sposób Keres wymusza osłabienie królewskiego skrzydła przeciwnika, zdobywając dzięki temu możliwość ataku.

13. g2—g3 Gc8—h3 14. Wf1—e1 Wa8—d8 15. Wa1—cl He5—g5 16. f2—f4

Duża lekkomyślność! Białe wprowadziły mając tę „satysfakcję”, że zmuszają czarne go hetmana do ucieczki, ale ceną jest nowe osłabienie pozycji króla.

16... Hg5—g6 17. Ge2—d3. Lepsze było 17. Gf3.

17... Hg6—h6 18. Sc3—a4 Gd6—b4 19. Gb2—c3

Nie można było 19. We2, bo 19... Gg4.

19... Gb4:c3 20. Wc1:c3 Wd8—

d6 21. Sa4—c5 Wf8—e8 22. Gd3—f1 Sf6—g4 23. Gf1:h3

Grozilo 23... G:f1 i 24... H:h2+ 23... Hh6:h3 24. We1—e2 Wd6—h6

Na natychmiastowe h7—h5 mogło nastąpić 25. Hf1 z wymianą hetmanów.

25. Hd1—d2 Wh6—h6 26. e3—e4 h7—h5 27. e4—e5 Sg4—h6. Grozilo 28. f5.

28. We2—g2 Hh3—c8. W ten sposób białe przygotowują h5—h4. Teraz było to niedobre ze względu na 29. g4.

29. b3—b4 h5—h4 30. Sc5—b3 h4:g3 31. h2:g3 Hc8—h3 32. Sb3—d4. Patrz diagram!

32... Sh6—g4! Czarne kontynuują atak, nie cofając się przed stratami materialnymi.

33. Wc3:c6 Wg6:c6 34. Sd4:c6 We8—e6 35. Hd2:d5 We6—h6. Białe zdobyły dwa piony, ale nie mogą odeprzeć ataku.

Pozostało im już tylko parę szachów.

36. Hd5—d8+ Kg8—h7 37. Hd8—d3+ g7—g6 38. Kgl—f1 Hh3—h1+ 39. Wg2—g1 Hh1:c6. i białe poddały się.



Pozycja po 32. Sb3—d4

Od i do Czytelników

W jednym z ostatnich listów wśród wielu uwag na temat naszego tygodnika, zadano nam następujące pytanie: dlaczego w dziale Od i do Czytelników tak mało jest konkretnych spraw związanych z problematyką poszczególnych artykułów w „ŚWIECIE”. Czyżby redakcja zadowalała się tylko samymi pochlebnymi ogólnikami?

Pytanie to „dopiekło nam do żywego”. Bo jakżeż to? Sami przecież nawołujemy od lat (jak ten czas szybko leci!), aby Czytelnicy nie szczędzili nam słów krytyki, żeby zabierali głos w dyskusjach wokół spraw poruszanych na łamach „ŚWIATA” — a tu nagle taki zarzut!

Jeżeli jednak „zarzut” ten rozpatrzmy „na chłodno” — jego istota i nam wydać się musi słuszna. Tylko, że nie nasza w tym wina, w każdym razie nie całkowita.

I tu musimy z ciężkim sercem obwinić (ha, trudno!) Czytelników. Bo zważcie sami:

Pewnego dnia zaczęliśmy drukować felietony Mariana Brandysa (na tematy literackie i inne). Przez pewien czas autor otrzymywał listy świadczące o tym, że felieton porusza zagadnienia interesujące Czytelników, kiedy jednak zniknął z łamów „ŚWIATA” felieton Brandysa, nikt z Czytelników nie upomniał się o niego (o felieton, nie o Brandysa). A teraz to samo. Zapaleniec Hen wycofuje się z boiska felietonowego i tylko jeden list serdecznego bólu o rozstaniu nadsyła Czytelniczka z Łodzi... Takich wypadków zdarzyło się już więcej — i dlatego budzą one naszą uwagę.

Czytelniku! Jesteśmy prawie pewni, że felietony Brandysa, Hena czy innego pisarza, drukowane na łamach „ŚWIATA” miały swoich przysięgłych zwolenników, a autorzy cieszyli się serdeczną sympatią starych i młodych. Ale w tym sęk, że te uczucia nie znajdują wśród Was, Czytelnicy, gorętszego wyrazu, że — co tu owijać w bawełnę — nie zachęacie autorów swoim milczeniem. Gniewajcie się, oburzajcie, ale piszcie!... Bo przecież wiele różnych problemów przewija się przez wszystkie strony „ŚWIATA” — w naszym konkretnym wypadku nie przez cztery strony światła, jak nas uczono w szkole, ale przez 24 (słownie: dwadzieścia cztery!). Piszemy o ludziach i o rzeczach, kłopotach i radościach, błędach i sukcesach, o kraju i o świecie itd. itd. A jednak Wasz udział, Czytelnicy, w dyskusjach nad sprawami — słusznie czy niesłusznie oświetlonymi przez autorów naszego tygodnika — jest stanowczo za mały.

Zamiast laurów pod adresem „ŚWIATA” tak często nadsyłanych do redakcji, wolelibyśmy śmiało krytykę, surową ocenę, wyrażanie poglądów na te kwestie, które poruszamy w różnych działach naszego pisma. Protestujcie przeciw nudnym reportażom czy artykułom, krytykujcie zło ujęcia.

Apelujemy do Was, drodzy Czytelnicy, o żywszą z nami wymianę myśli, o serdeczniejszy, a więc tym samym po przyjacielsku krytyczniejszy stosunek do materiałów drukowanych z myślą o Was i dla Was.

„ŚWIAT”

F R A S Z K I

O OBLUDNYCH OŚWIADCZENIACH ZACHODNICH POLITYKÓW

Często tak na świecie bywa, że ktoś ręce swe umywa — lecz to próżne jest i złudne, bo ma stale ręce brudne...

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI



SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 575. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-19150 podpisano do druku 13.10.54 r.

TYLKO dla Kobiet

PIĘCIORO PRZYKAZAŃ LUDZKICH

Wymagaj sama od siebie choć 15 minut odpoczynku dziennie.
Pobóź się, zamknij oczy (wyobraź sobie kolor czarny).
Nogi trzymaj wzniesione, daj im odpocząć. To nie żarty dzwigać Cię cały dzień.
Rozluźnij wszystkie mięśnie.
Postaraj się nie myśleć o niczym.
(Sprawdź, czy nie przychodzi Ci to zbyt łatwo).
Oddychaj głęboko, spokojnie.

P.S. Jeśli nawet te zalecenia będziesz zbyt pochopnie osądzać jako niepoważne, bądź niepoważna i postaraj się serio wprowadzić je w życie. Taki odpoczynek jest KONIECZNY dla Twego dobrego samopoczucia. A Twoje dobre samopoczucie jest KONIECZNE dla ludzi, z którymi współżyjesz.



SPÓDNICE, SPÓDNICE, SPÓDNICE

Dlaczego spódnice? Bo można je otrzymać ze starych sukienek. Bo mniej-sza ilość materiału jest potrzebna na uszycie spódnicy niż na całą suknię. Dalsze „bo”: spódnica i kilka bluzek, jeden sweter, lub dwa — to praktyczny strój, umożliwiający tak ulubione przez nas zmiany. Na bluzki używajmy koszulówki. Niedroga,

przyjemna, doskonała do prania. Do popielatych spódnic kładźmy bluzki: beż, brązowe, niebieskie, granatowe, w paski wszystkich kolorów. Do granatowych spódnic: beż, paski wszystkich kolorów. kratki wszystkich kolorów. Do brązowych spódnic — wszystko z czerwonym, z beż, z popielatym. Nic granatowego.



Dzień córki

PROBLEM zagęszczenia mieszkania.
Jak żyć w harmonii z najbardziej kochaną rodziną, gdy przez cały dzień nie mamy ani chwili samotności, ani chwili dla siebie? Nieustanny ruch, krzątanie, brak możliwości odpoczynku, możliwości odprężenia się z całodziennego napięcia po pracy czy nauce — to czynniki wpływające fatalnie na system nerwowy, nawet tak odporny jak u moich dorosłych córek.

Chcąc zaradzić złu obmyślałam taki plan naszego wspólnego życia, by każda z nas miała raz lub dwa w tygodniu przynajmniej dwie godziny całkowitej samotności w domu. Jedna z nas zostaje w naszym skromnym królestwie i bierze je w całkowite posiadanie, dwie — dziś właśnie ja i młodsza moja córka — idziemy w odwiedziny do krewnych. Oprócz tego moje małe (dla matki ciągle jeszcze są małe) wymyśliły „godzinę milczenia”, wtedy gdy uczą się (starają się odpowiednio dobrać godziny) bez głośniego powtarzania lub odrabiania obowiązującej lektury. Ja w tym czasie oczywiście przystosowuję do nich swoje domowe zajęcia.

Być może, że powie ktoś, że to są drobnostki, na których obmyślanie szkoda wprost czasu. Ba! Gdybyż nasze nieporozumienia ludzkie wynikały na skutek ważkich powodów! Najczęściej właśnie są one spowodowane dręczącym drobiazgiem, ową przystawiającą kropką, która przepelnia czarę naszej cierpliwości.

Właśnie myślę o tej cnocie cierpliwości widząc jak moja młodsza córka marudzi przed wyjściem, przegląda ze smętną miną rozlatujące się pantofle z kolcami. Te ostatnie starała się wczoraj przyprowadzić do porządku przy pomocy mego jedynego pilnika do paznokci.

— Wychodzimy za pięć minut — mówię — nie zmusisz mnie do spóźnienia.

— Mamo — odpowiada młody barbarzyńiec — człowiek punktualny nie może się z nikim spotkać. Przecież właściwie nikt nie jest punktualny.

— Nabierz zatem za-miłowania do oryginalności — odpowiada Ali-na — w ten sposób przyswoisz sobie przynajmniej jedną zaletę... Będą o tobie mówili „brzydka, ale przynajmniej punktualna”, albo — „nudna, ale punktualna, a zatem można ją łatwo wyminąć...” Pantofel z nieco wyostrozonymi kolcami ląduje tuż przy głowie mojej starszej latorośli.

— Rekordzistka — pada pełna wzdrgi u-waga.

— Nie używaj wyrażen, których nie rozumiesz — coś ty wiesz o rekordach. Kobieta, która nawet nie wie co to znaczy ćwiczyć...

— Ale rozumiem co znaczy oćwiczyć. Zabieraj się, mama czeka...

— Już, tylko jeszcze dojdę do telefonu...

— Nie dojdę, a PO-DEJDE...

— Przestań mnie uczyć!

— To przestań mówić błędnie! Nie dalej jak wczoraj popisałaś się nową formą „umią” zamiast „umieją”. I tak mówi moja siostra!

— Wielkie rzeczy! A muszę ci powiedzieć, że „umią” mówi olbrzymia liczba ludzi i z pewnością ta forma zdobędzie sobie prawo obywatelstwa. Oto przykład rozwoju języka. „Umieją” to będzie forma czynna, a „umią” — bierna.

— Bierna w stosunku do gramatyki. Sama jesteś forma bierna. Gorzej — nijaka. Opuść ten dom.

— Oto przykład czułości siostrzanej — wzdycha młodsza z moich córek otwierając drzwi.

— Czułość... Chcesz czułości to zasłuż na nią i powiedz kto o niej powiedział:

„Czułość bywa jak pełny wojen krzyk, I jak szemrzących źródła prąd, I jako wtórny pogrzebny...”

I jak plecionka długa z włosów blond, Na której wdowiec nosić zwykł

Zegarek srebrny...”

— Cyprian Norwid — krzyknęła już ze schodów młodsza córka, której szczęśliwie udało się to podpowiedzieć. — Widzisz! Jeden zero dla mnie!

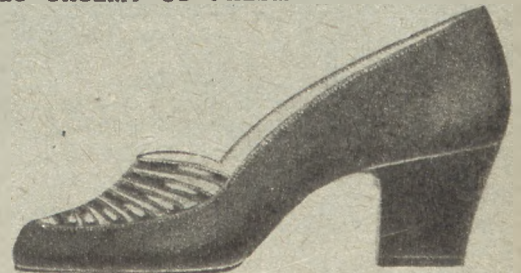


1909

1954



CZEGO CHCEMY OD PRZEMYSŁU



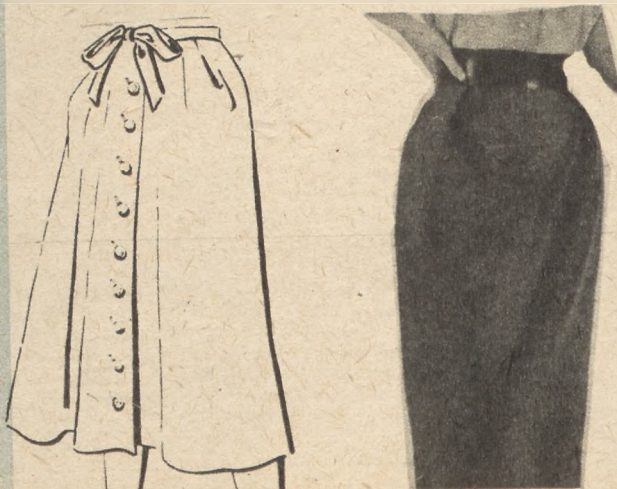
KRÓTKA SZYJA

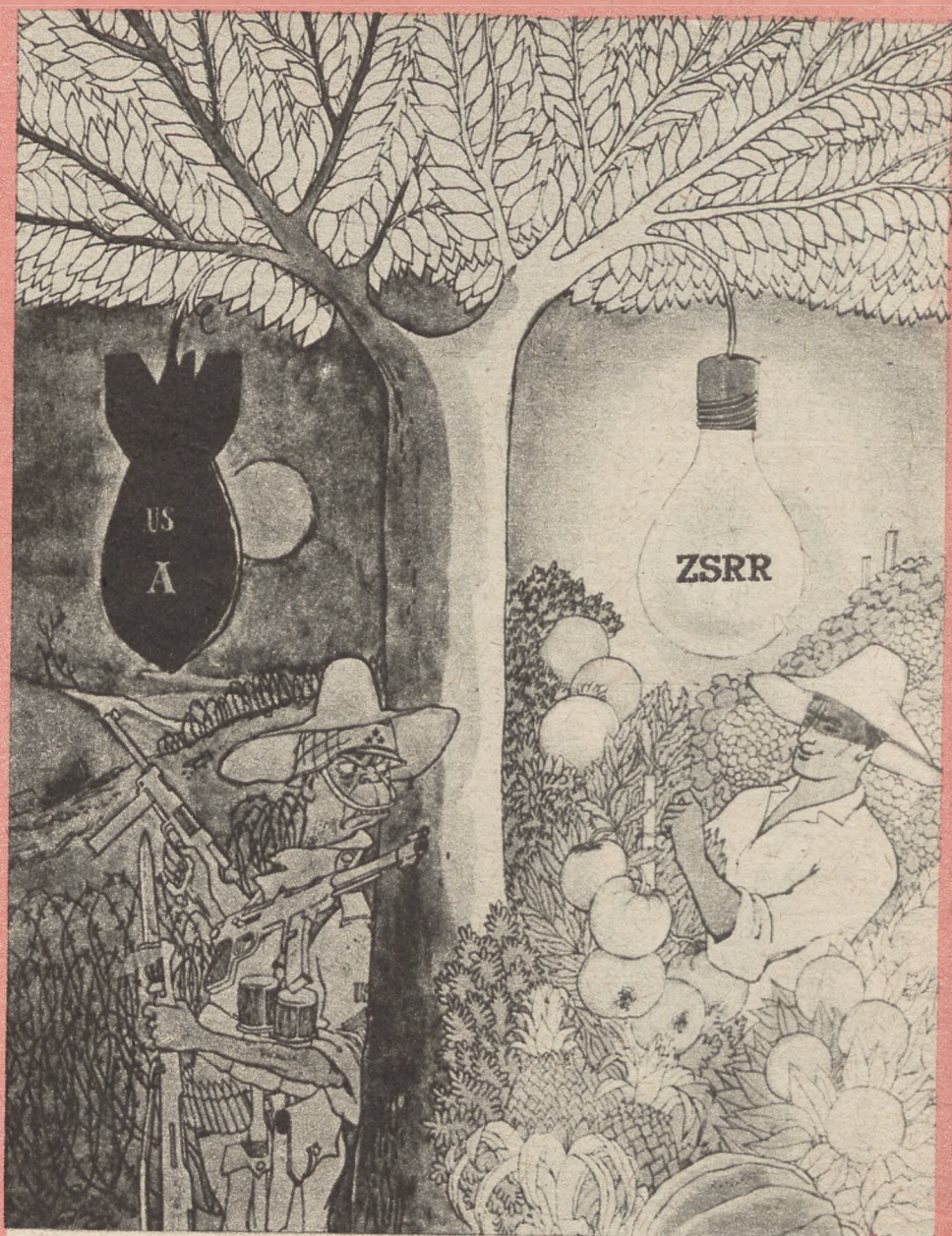


NIE!

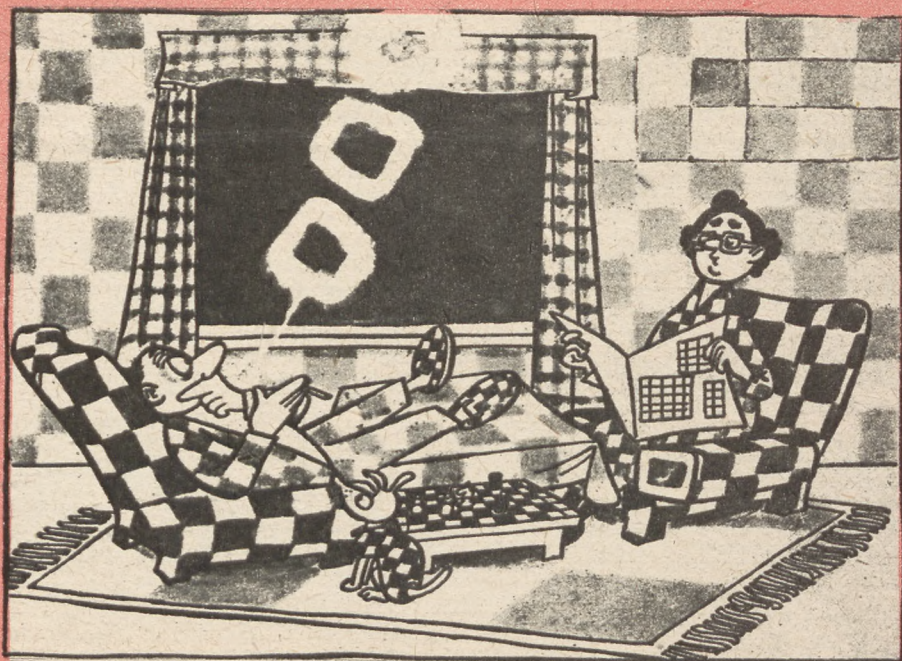


TAK





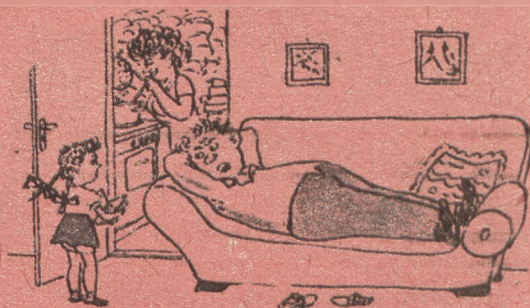
Po ich owocach poznacie ich.



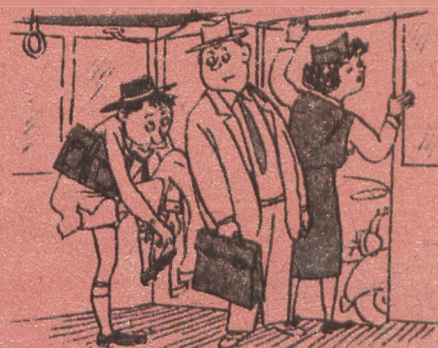
W mieszkaniu mistrza szachowego.



— Słyszalaś? Znowu chcą z naszego masła robić armaty.



— Nie mam czasu moje dziecko, idź do mamy!



— Czy mógłby pan jeszcze chwilę tak postać?
Wstałem dziś trochę za późno.

